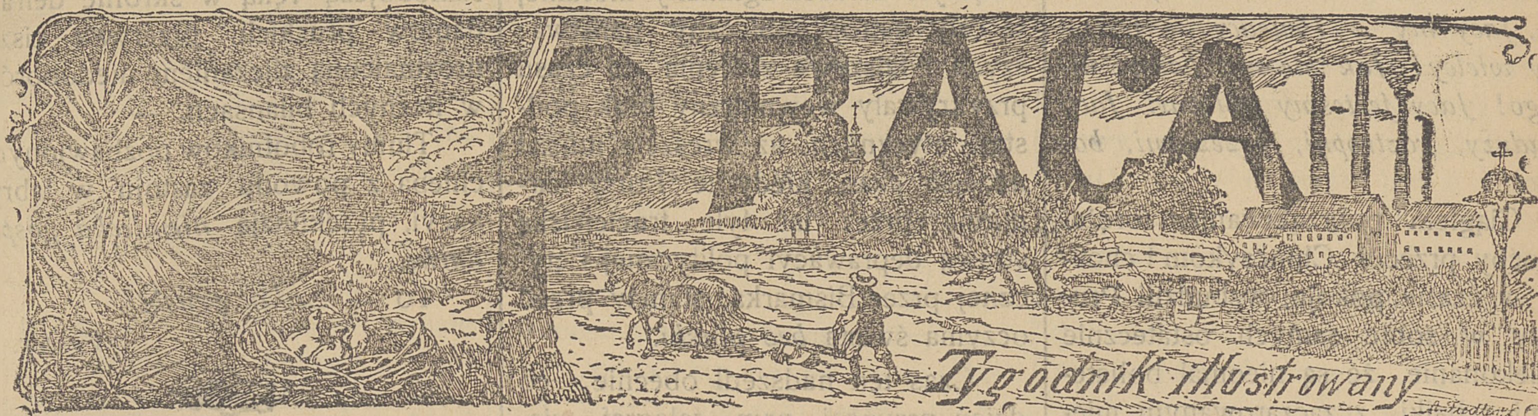
Nr. 37. Poznań, Niedziela dnia 15-go Września 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 hal.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.** *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

W jednym z następnych numerów zamieścimy w dalszym ciągu trzeci malowniczy opis

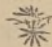
obu powiatów poznańskich

(wschodniego i zachodniego)

z mapą kolorową obu powiatów i z dołączeniem licznych illustracyi, odnoszących się specyalnie do tychże powiatów.

Panów kupców i przemysłowców, mających zamiar dać inseraty do tego numeru, upraszamy o łaskawe spieszne nadesłanie nam tekstu ogłoszeń.

Wydawnictwo „Pracy“.



Od Administracyi i Ekspedycyi.

Z Szanownymi Czytelnikami dzielimy się miłą wiadomością, że pismo nasze przechodzi przez cenzurę warszawską, a zatem każdy z naszych Czytelników, o ile przenosi się na stałe do Królestwa Polskiego i Rosyi, nie potrzebuje brać rozbratu z „Pracą“, jak to dotychczas bywało, lecz może ją abonować w dalszym ciągu, a numery najregularniej już w poniedziałek dochodzić go będą.

Dopóki nie urządzimy w Warszawie głównej agentury komisowej naszego pisma, pieniądze należy nadsyłać wprost do Ekspedycyi naszej w Poznaniu (Rycerska 38) i to w wysokości:

rocznie rs. 5 (pięć.)
półrocznie rs. 3 (trzy.)
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

(Cena w stosunku do Księstwa dlatego dość wysoka, ponieważ przesyłka każdego pojedyńczego numeru kosztuje do Królestwa 10—15 fen.)

Czytelników naszych, których krewni lub znajomi przebywają stale w Królestwie, prosimy, aby zechcieli donieść im o tem, że mogą abonować „Pracę“, a wiadomość ta bezwątpienia sprawi im wielką radość, gdyż da możność uczestniczenia, choć w oddali, w duchowem życiu naszej dzielnicy.

Administracya „Pracy.“



Sedan.

...Zahuczały kotły i surmy bojowe, zawarczały bębny, muzyka tryumfalną fanfarę zagrała, wyprostowały się dumnie proporce i sztandary pułkowe, a z tą muzyką, biciem w bębny i kotły, z tem powiewaniem zwycięskich chorągwi wkroczyło wojsko pruskie w mury francuskiej fortecy.

Sedan się poddał i zabłysła gwiazda tryumfu nowożytnych Niemiec!

Od tego czasu lat wiele minęło, dłoń wszystkoniszczącego czasu wyrównała rozmaite zatargi, jedno pokolenie w grób zstąpiło, a miejsce dawnych ludzi zajęli nowi z innemi pojęciami, z innemi dążeniami, lecz szereg tych lat w pyszniących się swą dorobkiewiczowską fortuną Prusach nie zatarł ani jednego wspomnienia z owych chwil tryumfu, związanego z datą drugiego września i z nazwą Sedanu. Jak pyszałkowaty syn wzbogaconego spekulanta chętnie ubiera się w brylanty ojcowskie, aby zaimponować ludziom świetnością, której nie śmiał w całej pełni używać ojciec, bo mu zbyt przypominała łzy i krzywdę ludzką, — tak samo i Prusy w epoce pobismarkowskiej chętnie stroiły się w pawie pióra zdobytej podstępem przewagi nad francuskim swym sąsiadem.

I w szeregu lat ostatnich byliśmy świadkami tego, jak prawdziwy szał upojenia z tryumfów orężnych, dokonanych przed 30-tu laty przez ojców, ogarniał synów i nie słabnął, lecz raczej wzmagał się z roku na rok.

Iluminacye, festyny, obchody uroczyste, galowe święta dworskie — wszystkie te pompatyczne, lecz czcze w gruncie rzeczy demonstra-

cye z okazyi rocznicy Sedanu miały jakby jeden wspólny refren, który brzmiał: *Patrzcie na nas, narody, jacy my — Prusacy — jesteśmy wielcy! Jak się nie boimy nikogo! Jacy jesteśmy potężni! Jacy mądrzy, roztropni, przezorni, bogaci!*

Ciągłem pobrząkiwaniem oręża, choćby przeciw Chińczykom i choćby w czasie pokoju, wzbudzili Prusacy w sobie samych ostatecznie przekonanie, że są nieomal bohaterami z bajki, z zaczarowanym mieczem w dłoni: a kulminacyjnym punktem zwycięstw pozostał w ich przekonaniu *Sedan.*

W tem słowie skrystalizowała się zwycięzka, a podstępna potęga współczesnych Niemiec, i pogrom wroga, i najszczytniejszy tryumf wytycznej zasady państwowej: „siła przed prawem.“

Jeneralny agitator hakatystycznego związku, dr. Bovenschen, po dziś dzień się chwali w swych przemowach, że małym będąc chłopcem kamieniami ciskał w szyby tych domów polskich, które w dzień Sedanu były nieoświetlone; dziś z małego ulicznika zrobił się pan dr. Bovenschen wielkim — — agitatorem, a pomimo tego szeregu lat Prusak każdy — tak samo, jak dawniej — uważa za wyzwanie, jeśli mu ktoś jego „Sedanu“ nie uzna za największe święto starożytnego i nowoczesnego świata.

Lecz oszołomienie zwycięzców z pod Sedanu, wsparte miliardami kontrybucyi francuskiej, trwało już za długo, aby nie miało przyjść po niem rozczarowanie.

W tym roku w święto Sedanu nieliczne tylko powiewały chorągwie z gmachów instytucyi publicznych, o iluminacyi nikt nie myślał, nie znać było świątecznego usposobienia, nie było festynów i zabaw ludowych, na wszystkiem ciężył jakby ołowiany, przygnębiający jakiś nastrój. —

„*Rausch*“ przeminął — zaczyna się „*Katzenjammer.*“

Francuskie miliardy nie przyniosły Prusom szczęścia; zdobyte prawem pięści złoto pobudziło do pozornego rozkwitu finansowego i ekonomicznego, lecz równocześnie wsączyło zarazek zgnilizny moralnej w cały ustrój społeczny państwa; szych i fałszywe złocenia do czasu przykrywały wewnętrzny brak podstaw etycznych, aż wreszcie musiał nadejść czas, kiedy te Prusy karmione przez lat tyle trucicielską strawą deprawacyi politycznej i etycznej przez Bismarka, stanęły przed oczyma świata *bez maski.*

Czas ten nadszedł obecnie: co dzień przynosi nam telegraf wieści o coraz to nowych odkryciach fałszerstw na wielką skalę, bankructw podstępnych, milionowych kradzieży, popełnianych przez utytułowanych dyrektorów banków przywilejowanych przez państwo, — idzie krach za krachem, odsłaniają się niesłychane brudy i szalbierstwa, miliony i miliony zaoszczędzonego przez biedaków grosza pochłania straszliwy pogrom finansowy, pod stopami „najpewniejszych“ instytucyi finansowych niemieckich otwiera się ziomąca przepaść upadku w sromocie, mądrzy uczniowie wielkiego swego papy Bismarka, dyrektorowie banków, napełniwszy kieszenie kradzionym groszem, uciekają do Ameryki, mniej sprytni już siedzą za kratkami, a prokuratorzy wydołać nie mogą robocie. — — —

To — Sedan pruski.

Dlatego tłumionem echem odzywały się w tym roku tryumfalne fanfary pruskie w dzień Sedanu; dlatego smutnie i wstydliwie zwieszały się na proporcach chorągwie; dlatego o dorocznej iluminacyi mało kto pamiętał. Ponad tryumfalny marsz bowiem brzmi „*Leipziger-Bank-Krach-Walzer*“, żałobnych, z powodu bankructw kirem przewiązanych chorągwi znalazłoby się więcej niż chorągwi o barwach świątecznych, — a co do iluminacyi, to zapewne rzadko który akcyonaryusz, obdarty do suchej nitki przez nowożytne burgi raubritterów, funkcyonujące pod firmą niemieckich towarzystw akcyjnych, miałby ochotę świeczkę palić temu kultowi siły, dzięki któremu sam został bez litości wyzyskany.

Raz po raz tylko odgłos strzałów rewolwerowych, skierowanych samobójczą ręką w skronie defraudantów pruskich, przerywa ciszę, urozmaiconą zliczaniem niedoborów w licznych bilansach. —

Tłumy robotników pozbawionych chleba z powodu zastoju w fabrykacyi, przeklinają *niemiecką gospodarkę...*

To — *Sedan pruski!*

Vester.



Przebłysk sumienia i sprawiedliwości.

Nad dzierżawami polskiemi, mocą zaboru przydzielonemi do Prus, zawisła atmosfera ciężka, duszna i chmurna, tamująca swobodny narodowy oddech. Przyrzeczenia dawniejszych monarchów zlekceważone, gwarancye traktatów wiedeńskich w zupełnej poniewierce, a konstytucya, zastrzegająca równouprawnienie obywatelskie pod każdym względem, stała się przedmiotem politycznego kuglarstwa wszędzie, gdzie chodzi o równouprawnienie *narodowości* polskiej.

Pycha zaszczepiona w narodzie niemieckim przez żelaznego kanclerza, samolubstwo w parze z niepohamowaną żądzą tępienia obcoplemiennych egzystencyi, fałsz, kłamstwo i krętactwa wszelkiego rodzaju, rozpowszechniane przez germanizacyjnych pachołków i antypolską prasę — wszystko to tak ogłupiło opinię wśród niemieckiego narodu, tak zachwiało moralnym jego fundamentem, a ogromne masy do takiego przywiodło znikczemnienia pojęć, że uczciwej, rzetelnej obrony praw naszych ze strony niemieckiej oddawna już się nie spodziewamy.

Przywykliśmy do tego, że każdy objaw narodowych polskich uczuć, bywa bezwstydnie, haniebnie rozgłaszany przez Niemców, jako straszna zbrodnia, jako słuszna pobudka do praw wyjątkowych a raczej bezprawnych krzywd i upośledzenia. Przywykliśmy i do

tego, że paragraf prawny o podburzaniu do gwałtów coraz obszerniejsze znajduje zastosowanie, jakkolwiek w żadnym z inkryminowanych wypadków niebezpiecznego wzburzenia umysłów lub też choć odrobiny gwałtu stwierdzić nie zdołano. Ani haseł do buntu, ani zbiegowisk, ani rozruchów nie wywołało dotąd jakiebądź słowo na wiecu lub jakibądź w prasie polskiej artykuł, a jedyny niepokój pojęty przez władzę policyjną jako zakłócenie porządku publicznego zaszedł we Wrześni, nie z powodu wieca i nie z powodu prasy, ale z powodu przeciwnej naturze dzieci nauki wiary św. i z powodu zbyt szczodrobliwej nauczycielskiej chłosty.

Jak wiele innych objawów narodowego naszego życia, tak też i wiec gostyński, zwołany na dzień 21 kwietnia, a rozwiązany przez komisarza Augustiniego, stał się przedmiotem postępowania karnego dzięki prokuratoryi w Lesznie. Licząc się z obecnym prądem ogół polski nie łudził się wiarą, że sprawa sądzoną będzie bez antypolskiej niechęci i uprzedzenia. Przewidywano raczej, że oskarżyciel rządowy, tj. prokurator z przebiegu wieca, a szczególnie z wątku przemówień wiecowych ciężkie wysnuje przewinienia, że zażąda kar surowych na winowajców, a trybunał żądaniu jego mniej lub więcej okaże się powolnym.

Bo wszakże i na trybunały usiłuje dziś hakatyzm wywierać wpływy wrogie Polakom, domagając się, ażeby urzędnicy wszelkiej kategoryi a więc i sędziowie przystępowali hurmem do stowarzyszenia, którego hasłem pozornem „Stärckung des Deutschtums“ a istotnem: „vae victis“ tj. „biada podbitym.“ Trudno przecież wyobrazić sobie, iżby sędzia duchem nienawiści plemiennej ze strony hakatyzmu natchniony, zdołał spełnić szczytne powołanie swoje podług miary bezwzględnej „Sprawiedliwości“, wznieść się ponad uprzedzenia stronnicze, wyrokować za wytyczną boskich prawd i ludzkiego sumienia.

Tymczasem trybunał leszczyński ku zdziwieniu całej opinii polskiej stanął na wysokości swojego zadania, a pobudce tak niskiej, jak zamykająca się w wyrazach: „vae victis!“ nie dał się wedrzeć do świątyni Temidy.

Szczegółowy opis ciekawego procesu przed trybunałem leszczyńskim podajemy na osobnem miejscu; w artykule niniejszym chodzi nam jedynie o uwydatnienie rzadkiego niestety zjawiska, że przewodniczącego trybunału, p. Schlüttera, nie zawiodły na mylne drogi ani referaty komisarza p. Augustiniego, ani prokuratora p. Caspra wywody — przewodniczący Schlütter a za nim trybunał poszedł za wskazaniem prawdziwie ludzkiej, wolnej od uprzedzeń Sprawiedliwości. Zaiste, nie po myśli hakatyzmu były pytania i uwagi, które padły w Lesznie z ust prezydenta. Nie przyniosło czci giermanizacyjnemu systematowi, gdy przewodniczący w toku badań oświadczył:

„Nie przypuszczam, iżby już najmłodsze dzieci polskie zmuszanemi były do nauki w języku niemieckim.“

Jakże wygląda systemat polakożerczy w szkołach wobec takiej uwagi prezydenta trybunału, ten systemat, który żąda, ażeby nauczyciele dziatwie szkolnej nawet wyjaśnień dorywczych i przygodnych w języku polskim nie udzielali?

A jakże brzmiało wobec giermanizacyi szkolnej pytanie pana Schlüttera:

„Czy dzieci w szkole nie uczą się wcale języka polskiego?“

Odpowiedź przecząca na pytanie to, jest chyba sama w sobie aktem oskarżenia, ale nie dla rzekomych winowajców z wieca gostyńskiego, jeno dla „piastunów oświaty“ w dzielnicach dawnej Polski!

Dzięki sumienności prezydenta dowiedział się też trybunał w Lesznie w toku dalszego badania, jaka gorycz zatruwa duszę narodu polskiego z powodu prześladowczej polityki i uprzytomnił sobie owo upośledzenie Polaków w obrębie stanowisk urzędniczych, uprzytomnił sobie krzywdy dziejące się tubylczej ludności polskiej przez kolonizacyą, bojkot prywatny i urzędowy zakrojony na wygłodzenie walczącego o swój byt i ideały plemienia; uprzytomnił sobie owo wyrzucenie 40,000 Polaków z granic państwa pruskiego, ten akt w dziejach świata niesłychany, którego ofiarami stawali się nawet wysłużeni w wojsku niemieckiem Polacy; uprzytomnił sobie i stwierdził, że w szkołach dla dzieci wyłącznie polskich uczą nauczyciele nie znający wcale języka polskiego; że w urzędach prostaczek nie umiejący po niemiecku nie może się nawet porozumieć ku swej własnej, częstokroć nieobliczalnej szkodzie; że jednem słowem cała polityka giermanizacyjna pogrążyła ludność polską w stan nieznośny, w stan bezprzykładnego upośledzenia.

Zrozumiał prezydent Schlütter, że społeczeństwo, że lud takim łańcuchem wyjątkowych praw i rozporządzeń spętany ma prawo wydać z siebie jęk boleści lub podnieść głos oburzenia.

Szlachetniejsza, nieprzymglona chorobliwym szowinizmem i sprawiedliwością kierowana dusza jego pojęła i wypowiedziała otwarcie wbrew prokuratorowi, komisarzowi Augustiniemu i powołanemu na rzeczoznawcę inspektorowi szkolnemu, że:

każdy obywatel państwa pruskiego (a więc i obywatel polskiej narodowości) *ma prawo bronić tego, co mu się należy.*

Odczuł też prezydent Schlütter, że hakatyzm sam w sobie niemoralny i potępienia godny, z funkcyami urzędnika sprawiedliwości zupełnie się pojednać nieda, a co więcej miał uczciwą odwagę wyrzec otwarcie:

„Co do mnie, to stanowczo wypieram się hakatyzmu; z mojem stanowiskiem urzędowem byłby on niezgodny.“

Sprawiedliwość i sumienie nie pozwalało prezydentowi nawet milczeć w chwili, gdy inspektor szkol-

ny przesłuchiwany jako rzeczoznawca obsłaniał w uderzający sposób nawskroś giermanizacyjny tryb w szkole i na zapytanie *„czy dla czysto polskich szkół wyznaczani bywają nauczyciele nie władający językiem polskim“* odparł z zaprzeczeniem: *„nigdy“*. *„Jakto nigdy?“* zagadnął prezydent — *a przecież ja sam wiem, że w pewnej miejscowości urzędował nauczyciel, Westfalczyk rodem, nie znający zupełnie języka polskiego?!“*

Na takie dictum pan inspektor zapomniał języka w ustach i żadnego argumentu nie wybełkotał. Odzyskał dopiero monstrualnie patryotyczną swą fantazyą na zapytanie obrońcy mecenasa p. Wolińskiego, „czy prawdą jest, że nauczyciele Polacy otrzymują nakazy używania w domu, w kole rodzinnem języka niemieckiego?“

„Ja, ich halte es sogar für moralische Pflicht des Lehrers,“ odparł w hakatystycznem natchnieniu pan inspektor.

Oto świecznik szkolnictwa w powiecie widzi obowiązek moralny w niemoralnym przymusie, w pogwałceniu swobody rodzinnej, w naruszeniu świętych praw rodzicielskich, praw domowego ogniska. A zeznania owego inspektora są odzwierciedleniem tej pozornej, dusznej, gniotącej atmosfery, która — jak się wyraziliśmy na początku — zawisła nad polskiemi dzielnicami w Prusiech. Duszno i chmurno, horyzont zaćmiony szowinistyczną ciemnotą i polakożerczem zaślepieniem. Niekiedy tylko zawidnieje przebłysk sumienia i sprawiedliwości, jakby na znak, że światło prawdziwie ludzkich pojęć i chrześciańskich idei zupełnie nie zagasło w narodzie niemieckim. Takim przebłyskiem było światło, które prezydent Schlütter ze stanowiska swego, jako przewodniczący trybunału rzucił na posępne tło procesu o wiec gostyński. *Jako Niemiec* z pewnością nie gorszy od Hansemannów, Kennemannów i Tiedemannów, umie *jako człowiek* czuć i myśleć po ludzku. Takie i tylko takie zjawiska, niestety coraz rzadsze, zdołają ocalić honor niemieckiego narodu od niechybnego upadku; a niechby takie przebłyski sumienia i sprawiedliwości coraz częściej rozświetlały mroki, w jakie hakatyzm ducha niemieckiego narodu pogrąża.

Pretwicz.



Sezon krachów.

Niedawno całe społeczeństwo niemieckie zaalarmowane zostało krótko po sobie następującemi uderzeniami na trwogę, sygnalizującemi niezwykłe krachy finansowe poważnych instytucyi niemieckich.

Nie wspomnielibyśmy o tem, jako o sprawach obcego społeczeństwa wcale, gdyby w szalony wir krachów, niestety i jednostki naszego społeczeństwa porwane nie zostały i to z własnej winy, lub z winy złej rady cudzej.

Krachy te są tylko jednem z ogniw, znamionujących wewnętrzny rozkład w społeczeństwie niemieckiem.

Czytelnicy nasi przypominają sobie prawdopodobnie „nieregularności“ napiętnowane wyrokami sądowemi berlińskiego wydziału policyi politycznej; epizod ten publicystyka zarejesrtowała pod nazwiskiem orderami wysokiemi udekorowanego „pana *von Tauscha.*“

Zaraz po załatwieniu się sądów z nadużyciami policyi politycznej pruskiej, zająć się była zmuszona prokuratorya sprawami karciarstwa na wielką skalę, i to klubu samych „poczciwców.“ I tutaj egzystują grube akta z wyrokami niepochlebnego wcale brzmienia dla naszych najserdeczniejszych, kompromitujące wielu ich dostojników. — Zgnilizna wystąpiła w formie zepsucia towarzyskiego.

Niebawem przeniósł się fatalizm na pole obyczajności i sądy napiętnowały rzucającą fatalne światło na stosunki w życiu rodzinnem „Sternbergerei.“

Ta zgnilizna ledwie obeschła, wcale jeszcze zmysłów nie uspokoiwszy, aliści przenosi się konieczność naprawienia społeczeństwa niemieckiego na pole ekonomiczne, wykrywając haniebną gospodarkę cudzemi pieniędzmi, którą wszyscy w świeżej pamięci jeszcze mamy, łączy się ona bowiem z gwałtownem bankructwem in „Grund und Boden“, banków Pomorskiego i Pruskiego.

Jeszcze nie odpoczęły języki, zajęte omawianiem nieciekawej roli głównych działaczy tych bankructw, a już ogarniać zaczyna ludzi miennych, przedsiębiorców, wdowy i drobnych kapitalistów, przerażenie najwyższe; — w Dreźnie się coś popsuło: *Drezdeńska Kasa Pożyczkowa runęła!*

To czółno drezdeńskie kasy kredytowej najechało z kunsztownie dotychczas gładzonej powierzchni morza finansowego nagle na *Bank Lipski*, który zczepiwszy się z kaselskiem towarzystwem wszechstronnych przedsiębiorstw prawie całego świata kupieckiego, rozpadł się sromotnie, a kawały okrętu lipskiego i załoga uratowaną została przez osadzenie na suchym lądzie — więziennym — za pomocą prokuratora. Pilne poszukiwania nurków policyjnych z głębi tego błota wydobywają i długo wydobywać jeszcze będą topielców żywych lub trupów samobójczych.

W statku drezdeńskim zawarte urządzenia elektryczne *(akcyjne towarzystwo Kummera)* również śmiertelnego doznawszy szwanku, wskutek swego połączenia elektrycznego silnie uderzyły w przedsiębiorstwo gdańskie *Nordische Electrizitäts- und Stahlwerke.* Maszynistę Goslera pozbawiono przy tej okazyi znacznej ilości sił finansowych.

Zeszedłszy z pokładu sternictwa ogólnego, czuł się mąż ten stanu powołanym, podnieść wschód „wyżej“, pozwalając się osiodłać w tym celu pewnemu dyrektorowi z nad Bałtyku, Marksowi.

Za drut zachwiany „elektryczno-stalowy“ także się zaczepiło w Poznaniu sąsiedztwo pewnego polskiego czasopisma, na ulicy Fryderykowskiej — (dowcipniś nazwał je *„Obst-Bank“*) finansując filię wspomnianych *Nordische Electrizitäts-und Stahlwerke.*

W tymże banku nagromadzono skwapliwie różnemi drogami i z rogu obfitości (bankierom dobrze znanego pod nazwą Seehandlung) tyle sił żywotnych, że dotychczas ta łódź się jeszcze o te kamienie i cegły nie rozbiła, które przy torze koleji berlińskiej składać na budynek nowego przedsiębiorstwa filialnego Gosler-Kummer-Marksowego już zaprzestali, jednak krachy pieniężne pochłonęły zasoby depozytalne i kredyt!

Napomnienia, tak świadomych prywatnie, jak prasy naszej, nie zdo-

łały społeczeństwa naszego całkowicie uchronić od dotkliwych strat pieniężnych we wirze grynderki snać peryodycznie wracającej co lat 30. Niestety jednostki osobiście nam znane, po części znaczne poniosły straty, w kilku przypadkach nawet zupełnie zrujnowane zostały.

Szkody, jakie nasze społeczeństwo już poniosło i jeszcze ponieść może z okazyi krachów niemieckich, przypisać należy podstępnemu działaniu pisma poznańskiego „Orędownika“, którego kierownik uderzył niedawno na fałszywy alarm, rozsiewając niepokojące pogłoski o stanie naszych polskich instytucyi finansowych. Oszołomione tym alarmem liczne jednostki w naszem społeczeństwie wycofały swe depozyty z banków polskich a przeniosły je do niemieckich. Jaką przytem prowizyę otrzymał naganiacz, niewiadomo, to jednak pewna, że chwalił się sam, iż przeszło dwa miliony marek depozytów polskich wycofano z banków polskich, a przeniesiono przeważnie właśnie do Ostbanku, o którym krążą niepokojące pogłoski po Poznaniu.

Szachrajski ten manewr, mający na celu podtrzymanie zachwianych już wtedy instytucyi niemieckich *polskim groszem,* wykonany został przez to pismo *w przeddzień wielkich krachów finansowych niemieckich.*

Świadomi twierdzą, że społeczeństwo mogłoby ponieść było wręcz nieobliczalne straty, gdyby idąc za zdradzieckim głosem naganiacza banków niemieckich było w jeszcze większej mierze niż to się stało, powierzyło swe depozyty w ręce niemieckie.

Baczność na przyszłość przed podobnemi intrygami, bo niewiadomo nigdy, na czyją korzyść są one obliczone, jeśli się ukazują w „Szwarcweisserze.“

— *ski.*



Księstwo Poznańskie
po pogromie 1848 roku.

III.

Rok 1859 rozpoczyna w rozwoju stosunków politycznych w Prusach, a poniekąd i w Księstwie Poznańskiem, nową erę.

Wskutek ujawniającej się coraz bardziej choroby umysłowej króla Fryderyka Wilhelma IV, rządy objął w charakterze regenta książę pruski Wilhelm (późniejszy cesarz Wilhelm I).

Jak w roku 1840 ze zmianą tronu wiązały się w Księstwie dość daleko idące nadzieje zmiany warunków bytu politycznego, tak i teraz, we 20 lat później, obiecywano sobie *zmianę systemu po zmianie kierownika u steru nawy państwowej.*

Trwająca więcej niż lat dziesięć era niezwykłej reakcyi politycznej, która nad Poznańskiem zawisła od roku 1848, nie zdołała bynajmniej zdusić objawów samoistnego życia narodowego: stłumiła zewnętrzne jego objawy — zdusiła niezawisłą prasę, zahamowała ruch wydawniczy, zachwiała bytem rozmaitych intytucyi społecznych, ale nie zdołała wydrzeć z korzeniem zarodków przyszłości.

Gdy powrót do dawnej ustawy prasowej umożliwił istnienie gazet polskich, niezwłocznie ofiarnością i inicyatywą publiczną powstają organa opinii publicznej; okazuje się niebawem, że pomimo lat ciężkich przejść, strasznej ekonomicznej, moralnej i politycznej depresyi, rdzeń życia społecznego pozostał w swym charakterze narodowym, nienaruszony.

Jak u chorego, po ciężkiej niemocy wracającego do zdrowia, tak i w tem społeczeństwie, które przez lat kilka błąkało się na bezdrożach politycznych, widzimy równocześnie na rozmaitych polach oznaki powrotu do zdrowia.

Powstaje pismo polskie codzienne pod nazwą „Dziennika Poznańskiego“; zainteresowanie drukowanem słowem wzrasta; mnożą się wypadki prywatnej opozycyi przeciw wciskaniu się języka niemieckiego; zmiana osobistości na urzędzie naczelnym Księstwa powoduje grono obywateli do skomunikowania się z nowym naczelnym prezesem, Boninem, który po usunięciu się Puttkamera znów został naczelnym prezesem, jakim był w r. 1850.

Dawniej, gdy się zdawało możliwem, że jeden stanowczy wysiłek doprowadzi do zrzucenia jarzma pruskiego, uważano sprzeczne z prawem wdzieranie się języka niemieckiego do urzędów za rzecz podrzędnej wagi. „Mniejsza z tem, mówiono wówczas z dobrą wiarą, że Niemcy bazgrzą tam sobie po swojemu i że ziemię polską wykupują; gdy ich wreszcie diabli wezmą, i tak wszystko do nas powróci.“ Zadawalniano się więc zazwyczaj założeniem jakiegoś protestu — i na tem się kończyło. Prawie wszyscy korespondowali z władzami w tym właśnie niemieckim języku przeciw bezprawnemu narzucaniu którego przez swe oficyalne organy protestowali. Polska grzeczność i polska „wygoda“ popychały do tego. I tak się działo, że obywatele wyrzucali rządowi nieuznawanie tych właśnie praw, o których w życiu codziennem sami zapominali.

Po roku 1860 zaczęło się to zmieniać. Na tle dotychczasowej martwoty politycznej zarysowują się niejako dwie partye: jedna, opierając się na tych pierwszych oznakach politycznego ocknienia, żąda od Prus spełnienia zaciągniętych przyrzeczeń, druga — spodziewając się po zmianie tronu ulg, opartych na osobistej życzliwości panującego — radzi uległością i „niedrażnieniem“ dojść do upragnionej zmiany na lepsze, choćby kosztem niejakich ofiar i zrzeczenia się nieziszczalnych nadziei.

Z początku ta pierwsza partya, mając więcej sił wytrawnych i wyrobionych, bardziej opanowuje sytuacyę: druga się dopiero tworzy, układa, przygotowuje.

Za sprawą tej pierwszej grupy zaczyna się ożywiona akcya przeciwko wciskaniu się języka niemieckiego w sfery, w których język polski zasadniczo był równouprawniony. Za sprawą energicznego deputowanego Bentkowskiego, dopominanie się o prawa języka polskiego edyktem z r. 1815 zastrzeżone, podawano do rządu masowe petycye, a pojedyńczy obywatele zasadniczo wzbraniali się korespondować z władzami po niemiecku. Aleksander Guttry szeregiem kar administracyjnych płaci nieprzyjmowanie zapozwów sądowych w języku niemieckim. Na pokrycie kar, na niego nałożonych, licytują mu część ruchomości. Wzbudza to niezwykłą sensacyę i do naśladownictwa zachęca. Księdzu Karwowskiemu z Proch (w Kościańskiem) zlicytowano skromną garderobę i meble, jako grzywnę policyjną, za to, że wzbraniał się przyjmować rekwizycye władz cywilnych pisane w języku niemieckim.

Bonin, w połowie 1860 roku zamianowany naczelnym prezesem, rozpoczął swą działalność od odezwy do urzędników, nie znamionującej ani bystrości, ani znajomości spornej sprawy. W rozmowie z deputacyą starał się uderzać w ton pojednawczy, uznawał teoretyczne prawa języka polskiego, wskazywał na trudności w praktycznem przeprowadzeniu żądań, i wreszcie doradzał cierpliwość aż do chwili wydania nowego prawa, któreby uregulowało „kwestye sporne“. Deputacya po półtora-godzinnej konferencyi nic nieuradziwszy, odeszła — dla niej bowiem kwestyą „sporną“ wcale nie było.

Oprócz wyżej wymienionych mnożyły się i inne objawy, świadczące, że dążenia do rewindykacyi praw językowych przeszło w poczucie obowiązku jednostek, a nie pozostało wyłącznie niejako przywilejem oficyalnych organów opinii publicznej. Dalszą oznaką budzącego się życia politycznego jest znaczne towarzyskie ożywienie się, które widzimy od roku 1860.

Dwie instytucye, powołane do życia

przez Karola Marcinkowskiego — „Towarzystwo Pomocy Naukowej“ i „Bazar“ przetrwały szczęśliwie okres burzliwych przejść roku 1858 i następującej po nim długoletniej reakcyi; a jeśli działalność ich z natury rzeczy była ograniczona, to zato w latach następnych dają dowody zdwojonej żywotności. Towarzystwo Pomocy Naukowej coraz więcej ofiarności napotyka w społeczeństwie, wydaje zaś do dziesięciu tysięcy talarów rocznie na stypendya dla uczącej się młodzieży. „Bazar,“ jakkolwiek stracił cechę zamierzonego przez założycieli ogniska polskiego handlu i stał się raczej klubem, od roku 1860 ważnem się staje ogniskiem życia towarzyskiego i poniekąd politycznego. Z Bazarem w owych czasach zrosło się tak zwane „Kółko Towarzyskie,“ które słusznie uchodzić mogło za wyobraziciela polskiej opinii publicznej, łączyło bowiem niejako „Towarzystwo“ z całego Księstwa.

W pewnej korespondencyi współczesnej z Poznania znajdujemy taki ustęp, tyczący się tego Kółka i jego znaczenia dla społeczeństwa: „W salach „Kółka“ znajdziesz każdej chwili Towarzystwo czysto polskie, w którem swobodnie można myśl swoją wyrazić; znajdziesz tam nadto wszystkie pisma polskie i najnowsze broszury, które nas dotyczą. Prócz balów odbywają się na pokojach Kółka prelekcye popularne, odczyty dramatów polskich, albo na polskie przełożonych, koncerty Towarzystwa Muzycznego, amatorskie śpiewy i przedstawienia sceniczne. Jednem słowem instytucya ta dopomaga znamienicie do ożywienia i kojarzenia polskiego elementu w Poznańskiem, życzyć by jednak należało, aby nic z swych urządzeń nie zmieniając, inny jeszcze cel, prócz codziennej zabawy przed sobą stawiła. Tym celem jest urządzenie teatru polskiego.“

Widzimy z tego, że ożywienie towarzyskie i polityczne zaczęło już tak silnem tętnem uderzać, iż nakreślało dalszemu rozwojowi plany, które sądzone było dopiero w lat kilkanaście później uskutecznić.

I założone lat kilka przedtem, bo w r. 1857 „Towarzystwo Przyjaciół Nauk“, pomimo rozmaitych trudności, stawianych przez władze polityczne Księstwa, z drobnych początków zaczyna się rozwijać coraz pomyślniej. Już w r. 1860 posiada przeszło cztery tysiące dzieł, siedem tysięcy talarów żelaznego kapitału, półtora tysiąca talarów rocznego dochodu, zaczyna wydawać po raz pierwszy swe „Roczniki“, odbywa co tydzień posiedzenia z odczytami i dyskusyami, projektuje założenie pisma tygodniowego literackiego. Jak więc widzimy, coraz większe rozbudzenie życia politycznego. W przytoczonej powyżej korespondencyi pisze bezimienny autor w roku 1860:

„Wielkopolska może najwięcej ze wszystkich prowincyi składa ofiar na ogólne potrzeby; w niej życie wewnętrzne głębiej wyrobione, pojęcia polityczne dojrzalsze, solidarność uczuć i opinii bardziej utrwalona, a przy wzorowem duchowieństwie zgoda z włościanami zupełna. Niema obywatela, od któregoby jakiś grosz nie przechodził do jednego z zakładów publicznych; a wielu jest takich, którzy osobistym trudem i regularnym podatkiem do wszystkich instytucyi należą.“

Ruch naukowy i literacki nie jest wprawdzie tak silny, aby módz doprowadzić do założenia pisma literackiego, na wzór wydawanych przed r. 1846 pism Poplińskiego, Łukaszewicza, Wojkowskiego, Libełta, — alej ma grono poważnych reprezentantów: Libelt, Cieszkowski, Kazimierz Jarochowski, L. Wegner, L. Żychliński, Dr. Cegielski, Jan Koźmian, R. Berwiński, Emil Kierski — te nazwiska spotykamy na każdym kroku.

Dr. Kazimierz Rakowski.



Z blizka i z daleka.

Z rozmaitych miejscowości Księstwa, Prus i Śląska otrzymujemy listy pożegnalne od czytelników, których przymus służby wojskowej odrywa od polskiego społeczeństwa. Jeszcze krótki czas, a zawrą się za nimi wrota koszar wojskowych. Coraz częściej obecnie odczuwa Polak, jak ciężką jest przymusowa służba w wojsku. Ale że listy, które przyszli „żołnierze pruscy“ do nas piszą tchną gorącem uczuciem polskiem, więc nie przejmuje nas obawa, aby czas pobytu w wojsku mógł w czemkolwiek wpłynąć ujemnie na ich narodowy charakter. Raczej wzmocni go i utrwali, z konieczności wymagając tajenia się z uczuciami. Tajone z musu uczucia są zwykle najsilniejsze, — a pod pruskim mundurem podwójnie gorąco uderzać będzie serce polskie.

Wróćcie więc nam zdrowo, bracia, i niechaj się spełnią wasze życzenia, abyście zastali przyjaciół „Pracy“ w podwójnej liczbie! My strzedz będziemy pilnie narodowego żnicza!

* * *

Artykuł „Pracy“ p. t. **Verkommenes Volk** obiegł całą prasę niemiecką. *„Kölnische Volksztg“* zarówno jest oburzona na nas, jak i na owego zakonnika, który wymyślał Polakom w kościele *„Polnisches Schwein“* Uczciwe to pismo niemieckie żąda usunięcia go od opieki duchownej nad Polakami, żądając jednak zbadania faktu nadmienia, że stał się on w *„Herne.“* Zwracamy uwagę, że nie pisaliśmy wcale o Herne, lecz Derne. Nie dziwiłoby nas, gdyby wskutek tej omyłki tłomacza artykułu „Pracy“ pojawiła się niebawem wiadomość, że „w Herne żaden wogóle zakonnik w tym czasie nie słuchał spowiedzi.“

A więc prosimy o sprostowanie.

* * *

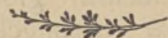
W jednym z poprzednich numerów autor korespondencyi z Dziembowa pod Piłą uczynił zarzut panu Kubackiemu, że na zabawie strzeleckiej zaczął śpiewać nieprzyzwoitą w ustach Polaka pieśń niemiecką, oraz że jest abonentem „Geseligera.“ Zarzuty te nie były słuszne. Pan Kubacki od dwóch lat jest abonentem „Pracy“ — to już w zupełności wystarczy każdemu na stwierdzenie, że p. K. jest prawdziwym Polakiem. Wbrew twierdzeniu owego korespondenta pan Kubacki żadnej niemieckiej gazety nie abonuje.

* * *

Nasi czytelnicy często piszą do „Pracy“ listy w rozmaitych sprawach i proszą o natychmiastową odpowiedź. Zwracamy tylko uwagę, że do „Pracy“ przychodzi jednego dnia nieraz 50 i więcej listów, których nietylko załatwienie, ale wręcz przeczytanie tego samego dnia jest niemożliwe. Każdy korespondent zatem powinien mieć trochę cierpliwości, a nigdy nie zapomnieć dołączyć swego adresu i marki na odpowiedź, bo w piśmie umieszczamy odpowiedzi tylko w wyjątkowych wypadkach. —

* * *

W przyszłym tygodniu wyjdzie z pod naszych pras drukarskich zasadnicza, obszerna, a nader ważna dla każdego Polaka, interesującego się polityką, broszura p. t. *„Pobudka wyborcza“*. Ponieważ pierwsze wydanie biliśmy w ograniczonej liczbie egzemplarzy, prosimy zatem wszystkie księgarnie prowincyonalne oraz agentury, aby w interesie własnym podały nam swój dokładny adres, ponieważ moglibyśmy je pominąć przy wysyłce komisowych egzemplarzy. *Z.*





Z TYGODNIA.

Uczciwe umysły całego świata są jeszcze pod wrażeniem grozy, jaką wywołał zamach anarchisty-zbrodniarza na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Mac Kinleya. Ciężko rannego otacza cześć i współczucie jego ziomków, którzy złorzeczą ręce, która odważyła podnieść się na głowę męża tak zasłużonego ojczyźnie.

Mac Kinley od kilku tygodni bawił u swej małżonki w Canton, w Stanie Ohio, gdy na usilne prośby administracyi wystawy panamerykańskiej przybył do Buffalo na początku b. m., by swoją obecnością przyczynić się do podniesienia znaczenia tak ważnego dla kraju pod względem ekonomicznym przedsiębiorstwa. Przy tej sposobności wygłosił on też mowę, której treść zwróciła na sie-

bie uwagę całego świata. Wskazuje on tam drogi, jakiemi pójść powinny Stany Zjednoczone, jeżeli chcą na targach światowych pierwsze zajmować miejsce, a kładzie nacisk na znaczenie znanej doktryny Monroego: „Ameryka dla Amerykanów.“ I właśnie w chwili, gdy wytrawny ten polityk rozkoszuje się myślą, że ojczyzna pod jego kierownictwem coraz silniejszą zdobywa sobie pozycyę w sprawach politycznych i ekonomicznych całego świata, ręka mordercy targnęła się na jego życie.

Dnia 6 b. m. Mac Kinley znajdował się w hali muzycznej w parku wystawy, gdzie odbywało się przyjęcie publiczne, podczas którego prezydent według uświęconego w Stanach Zjednoczonych obyczaju każdemu, kto się doń zbliżył, podaną rękę uścisnął. W tem przystąpił do niego młody człowiek, czarno ubrany, i podając mu lewą rękę, z prawej, obwiązanej chustką, w której był ukryty rewolwer, wypalił do niego dwa razy. Mac Kinley ugodzony dwiema kulami, z których jedna ugrzęzła w piersi, a druga w brzuchu, padł w objęcia otaczających go osób. Publiczność rzuciła się w tej chwili na mordercę, chcąc doraźny na nim sąd wywrzeć, lecz policya zdołała go przed tem uchronić i odstawiła dobrze już poturbowanego do więzienia.

Dotychczasowe śledztwo wykazało, iż morderca nazywa się Fryderyk Niemann, rodem z Detroit w Stanach Zjednoczonych. Przyznaje on, że wskutek czytania pism anarchistycznych powziął myśl zamordowania prezydenta, lecz przeczy, jakoby miał spólników zbrodni. Policya nie wierzy jednakowoż temu i poczyniła już liczne aresztowania anarchistów, chcąc dojść prawdy, czy czasem nie zorganizowano spisku, któryby miał na celu dalsze zamachy na głowy panujące. Przy tej sposobności wypada zaznaczyć, iż opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych zarzuca policyi, iż nie dość dobrze strzegła osoby prezydenta, chociaż wiedziała, iż anarchiści coś knują przeciwko Mac Kinleyowi. Zarzucają jej także, iż zbyt lekko traktowała niebezpieczeństwo, jakie od dawna groziło ze strony anarchistów, oraz że zbyt opieszale przeprowadzała kontrolę nad towarzystwami anarchistycznemi, coraz jawniej uwidaczniającemi zbrodnicze cele swej organizacyi.

Opieszałość więc policyi zawiniła, że Mac Kinley leży teraz chory niebezpiecznie wskutek ran zadanych mu przez mordercę, który w myśl ustawy karnej Stanów Zjednoczonych na lekką stosunkowo karę może być zasądzony. Za usiłowane morderstwo bowiem prawo przepisuje tylko karę 10 lat więzienia, bez różnicy, czy ofiarą padnie głowa, czy też pospolity obywatel rzeczypospolitej.

Z całego świata nadchodzą do Buffalo telegramy z wyrami oburzenia na zamach i z życzeniami, aby zbrodnia ta nie była przyczyną śmierci Mac Kinleya. Życzenia te prawdopodobnie się spełnią, albowiem lekarze mają nadzieję utrzymania prezydenta przy życiu.

Omawiając zamach na prezydenta nie możemy pominąć milczeniem postępku gazet niemieckich, zwłaszcza poznańskich, które zaciekłość wobec wszystkiego co polskie, posuwają do tego stopnia, że w imieniu i nazwisku „Fryderyk Niemann,“ *rdzennie* zresztą *niemieckiem*, upatrują *pochodzenie polskie* mordercy. Tylko w mózgownicach hakatystycznych, nie będących w stanie myśleć logicznie, mógł się taki dziwoląg wyrodzić, który podnosimy jako znamienny znak zgnilizny moralnej, panującej w obozie hakatystycznym.

Na wszystkie krzywdy wyrządzane nam ze strony wsteczników politycznych, Opatrzność nie zawsze patrzy pobłażliwem okiem, i raz po raz spuszcza na nich kary, by przypomnieć im nicość wszelkich zamysłów ludzkich, a nas pokrzepić na duchu. Otóż nasi najserdeczniejsi ponieśli obecnie wielką klęskę, bo z obozu ich musiał ustąpić ich mistrz i nauczyciel, były rewolucyonista i demokrata — eks-minister *Miquel*, a nie ustąpił on z własnej woli, lecz na rozkaz nieubłaganego sędziego — śmierci. My Polacy nie możemy wyrazić życzenia, aby ziemia lekką mu była, bo krzywdy, jakie on wyrządził naszemu społeczeństwu, wymyślając coraz to nowe rozporządenia wyjątkowe wobec Polaków, zbyt są wielkie i wciąż wołają o pomstę do nieba. Nie łączymy się z Niemcami z okazami boleści nad stratą męża tych zasług, co Miquel, bo właśnie zasługi jego polegały na gnębieniu obywateli polskich państwa pruskiego, których uważał on tylko za dojną krowę, a nie przyznawał im tych praw, jakiemi się cieszą obywatele niemieccy. On to wywołał hakatyzm i aż do śmierci krzepił jego ducha — za to więc my Polacy nawet za grobem nie możemy mu przebaczyć.

Jakoś nie wiedzie się Niemcom, bo nie ulega już dziś wątpliwości, że chińska misya „pokutnicza“ nie wypadła tak, jak sobie tego w Berlinie życzono. Tylko ustępstwom swoim zawdzięczają Niemcy, że ich nie ominął zupełnie jedyny sukces, jaki z wyprawy swej na daleki Wschód odnieśli, i że książę Czun, po tygodniowej zwłoce, zdecydował się nareszcie spełnić swoją misyę, według mocno zmodyfikowanego programu. Ponieważ on sam z oburzeniem odrzucił żądanie zastosowania się w Poczdamie do chińskiego ceremoniału „kotau“, w czem poparto go z Singanfu, przeto zwolniono go od niego; a ponieważ i reszta poselstwa czy świty księcia, także poddać się temu ceremoniałowi nie chciała, przeto zgodzono się na to, że książę sam jeden, tylko w towarzystwie ambasadora chińskiego, zjawi się na posłuchaniu przed cesarzem.

Wprawdzie tak złagodzony program usiłowano potem zaostrzyć w praktyce; wprawdzie na dworcu kolejowym w Poczdamie przyjęli brata cesarskiego tylko dyrektor policyi, komendent miasta i komendant placu; wprawdzie kiedy książę Czun wchodził do „nowego pałacu“, warta nie tylko nie sprezentowała przed nim broni, ale otrzymawszy wprzód komendę: „do woli broń!“, udawała, że go nie widzi; wprawdzie cesarz przez cały czas audyencyi zachował surową fizyognomię i postawę, i surowy ton w odpowiedzi na przemówienia księcia, w której upomniał Chińczyków, że „poselstwo pokutnicze“ nie jest dostatecznem zadośćuczynieniem, i że dopiero od przyszłego zachowania się cesarza chińskiego i jego rządu zależeć będzie, jak się stosunki dwóch narodów ukształtują, — ale wszystkie te surowości dalekiemi były od tego, czego przedtem żądano i czego się spodziewano.

Już przy wyjściu z pałacu oddano księciu wojskowe honory, potem cesarz odbył z nim przejażdżkę, a nazajutrz został książę zaproszony na śniadanie i przedstawiony cesarzowej.

„Poselstwo pokutnicze“ otrzymało uprzejme zaproszenie ze strony kilku rządów europejskich, a uprzejmość ta zatrze w umysłach Chińczyków przykre w każdym razie wrażenie, jakie w nich audyencya w „nowym pałacu“ mogła pozostawić.

Wszystkie represalie jakich się Anglicy dopuszczają wobec nieszczęśliwych Burów, nie polepszają ich położenia, owszem jeszcze je pogorszają, albowiem Burowie, płacąc pięknem za nadobne, chwytają się środków coraz to ostrzejszych, by wyrzucić wreszcie nieprzyjaciela z kraju. Coraz to nowe nadchodzą wiadomości o klęskach Anglików, a o sukcesach Burów, i kto wie, czy wkrótce Anglia nie ugnie dumnego karku i postawi dogodne warunki pokoju dla Burów, by ostatecznie zakończyć walkę, która zohydziła ją przed całym światem cywilizowanym.

S. Wcz.



PRZEGLĄD PRASY.

W roku bieżącym, wnosząc z częstych wzmianek gazet codziennych, w zastraszający sposób szerzy się plaga gier

hazardowych. Z tego powodu nawołując do położenia tamy temu społecznemu szkodnikowi, który rujnuje całe rodziny i życie familijne podkopuje, słusznie „**Lech**" przypomina o istnieniu towarzystwa „antykarciarskiego" i tak pisze o walce przeciw hazardowi:

„U nas oprócz szumnych frazesów, złotych słów, spisu członków towarzystwa antykarciarskiego i portretów odbitych w „Biesiadzie literackiej", żadnego nie widzimy rezultatu w czynie. Grają i zgrywają się w karty jak przedtem tak i potem, tak wielcy, jak i mali, tak starzy, jak młodzi, okładając sobie częstokroć bary kijami, lub też robiąc odbitki nadobnych swych dłoni na twarzach współgraczy, a członkowie „ligi antyhazardowej" kiwają głowami, że się ta złota młodzież, a i starzy mimo upomnień nie naprawiają.

„Nie kiwanie głowami, nie piękne słowa wystarczą na takie moralne samobójstwo, na taki cynizm, tylko energiczne wystąpienie wobec tych, którzy niby naszemu społeczeństwu na drwiny — w rodzaju trutni — usiłują się tylko żywić krwawym potem swoich bliźnich. Nie obwijajmy takich ponocnych rycerzy przemysłowych w bawełnę, lecz po nazwisku wymieńmy „zacne" ich nazwiska, których spisy — tak jak nazwiska nałogowych pijaków — powinny być po lokalach na publiczny widok wywieszone.

„Precz z nieszczęsnemi sentymentami i naganną pobłażliwością, niech się inni zgrywają, niech się w grze i rozpasaniu aż do skóry odzierają — im to wolno. Nam zaś Polakom tego czynić nie wolno, a każdy hazardowiec Polak, to zdrajca naszego społeczeństwa. W naszym ulu narodowym potrzebne są skrzętne i pracowite pszczoły a nie zbijobruki, pasożyty — trutnie."

Podzielając samą tendencyą powyższego artykułu zupełnie zgodzić się można na energiczne zapytanie autora. — „Cóż towarzystwo antihazardowe?" Byliśmy świadkami założenia tego towarzystwa (i to z jakim aplombem!) a tymczasem dotychczas śladów jego działalności nie widzimy. Towarzystwo to nie wystąpiło nawet przeciw tak rozpowszechnionej u nas modzie zgrywania się w loteryę państwową i nie wydało odezwy do pism polskich, aby zaprzestały umieszczać spisów loteryjnych.

A pogróżki ogłoszenia nazwiska graczów — pozostały pogróżkami.

Słusznie — acz ostro — nazywa autor przytoczonego artykułu pracę podobną: kiwaniem palcem w bucie.

Zachodzi obawa, aby to samo się nie stało z „*samopomocą* rodzicielską na polu nauki religii." Do tego przynajmniej uprawniają nas coraz to nowe wieści o wprowadzaniu niemieckich modlitw do szkół nawet żeńskich.

W „**Gońcu Wielkopolskim**" w tym przedmiocie czytamy:

„W jednej z klas drugich, gdzie dziewczęta mają przecięciowo po lat 12 — 14 kazano nawet jednej uczennicy powiedzieć „Vater Unser" albo Gegrüsset heist du Maria", albo „das Glaubensbekenntniss". — Dziewczę osłupiało. — Wtedy inna uczennica zawezwaną została do tego samego. Ta już zdobyć się mogła na odpowiedź, iż tylko w polskim języku modlić się umie.

— A czy nie umiesz choć trochę? wypytuje pan rewizor.

„Dziewczę zaczyna odmawiać początek, ale ponieważ po niemiecku się nie modliła i też zapewne na przyszłość modlić się nie zamierza, przeto improwizowanego tłomaczenia dość dokonała gruntownie, lecz dowolnie.

„Oczywiście, że pan inspektor nie mógł być zadowolonym z tej dowolności i zawyrokować musiał, iż tłomaczenie dobrem nie było.

— Das ist nicht gut, aber das müssen Sie lernen! Zabrzmiał wyrok — ale dalej konkluzya ciekawsza i nowsza:

— So wie Sie polnisch und — proszę słuchać — französisch beten können, so müssen Sie auch deutsch beten!!!"

Szykany nazwisk i imion polskich w urzędach stanu cywilnego nie ustają. Niedawno donosił nam Czytelnik nasz p. Henryk Ciemięga z Górnego Śląska o fakcie, gdy mu nie chciał urzędnik zapisać polskiego imienia nowonarodzonego dziecka, obecnie w „**Dzienniku berlińskim**" inny z naszych Czytelników, znany z gorliwej swej pracy w towarzystwie polskiem, pan C. Wilhelmi, ogłasza list następujący:

„Donoszę uprzejmie, że swego czasu urzędnik cywilny nie chciał zapisać imię dziecka mego Mieczysław, teraz dostałem z sądu dnia 29. 8. następujące uwiadomienie:

„Den Vornamen Mieczysław für den am 5. August geborenen Sohn des Wilhelmi in's Standesregister einzutragen, da ein gesetzlicher Ablehnungsgrund nicht erkennbar ist.

Pieczęć i podpisy."

„Gdy urzędnik nakaz odebrał, przysłał zaraz dwóch wysłańców do mego domu, jednego Niemca, który z żoną nic nie wskórał, a drugiego Polaka. Ten oznajmia, że urzędnik prosi, aby kto z małżeństwa przybył, w celu zapisania imienia. Dziecko jednak po chrzcie św. zmarło, przedłożono więc świadectwo doktora. Świadectwa tego jednak urzędnik nie chciał przyjąć, ponieważ stało na niem imię Mieczysław. Ponieważ trup nie mógł leżeć dłużej, przeto się postarałem, ażeby dziecko pochowane zostało bez cywilnego atestu, którego urzędnik wydać nie chciał. Posłałem mego chłopca, tego jednak ofuknięto i przysłano bez świadectwa do domu, żadając, aby matka lub ojciec przyśli. Żona zabrała się i wziąwszy ze sobą świadka, pobiegła do stanu cywilnego meldować śmierć dziecka. Ów pan urzędnik zaczął wyzywać od Polaken, i że tego imienia nie zapisuje, gdyż on żąda niemieckiego imienia. Gdy żona moja oświadczyła stanowczo, że innego imiena zapisać nie da i jeżeli nie zapisze tak jak my chcemy, będzie dziecko pochowane bez wszystkiego, opuściła urząd bez świadectwa. Urzędnik unosił się, rzucał papierami i świadectwa nie dał.

„Teraz urzędnik spisał protokół i oddał go sądowi, oskarżając mnie, że bez jego zezwolenia pochowano dziecko niemeldowane. Pytam się co za cel ma takie dokazywanie? Czy trup dziecka miał leżeć ze 6 tygodni — aż się owemu panu by chciało imię zapisać! — Jaka to kultura!"

Smutny los obecnie prześladuje „Orędownika." Pismo to trzyma się zwykle tej taktyki, że z każdem nowopowstałem lub zreorganizowanem pismem polskiem kokietuje i przeciąga je pod swoją komendę polityczną. Ponieważ co parę lat jakieś nowe pismo polskie powstaje lub przechodzi w inne ręce, więc „Orędownik" zawsze ma jakiegoś publicystycznego „adjutanta", którego podług swych planów tak długo na wosk urabia aż się tamten nie spostrzeże, że go za nos wodzono i nie wyłamie się z pod kierownictwa tego zbankrutowanego dyrektora ruchu ludowego. Tak było niegdyś z „Pracą", potem z „Gazetą Toruńską", potem za początków nowej redakcyi z „Kuryerem Poznańskim", wreszcie z „Dziennikiem Berlińskim", na ostatku zaś z „Gońcem Wielkopolskim." Ostatnie dwa te pisma niedługo pozwoliły się zwodzić za nos Szwarcweiserowi: obecnie tak się złożyło, że biedaczek jest bez adjutantów w prasie, i tylko na pomoc bratniego swego organu, „*Przeglądu Wszechpolskiego*" ze Lwowa liczyć może. Niemało go to przejęło widocznie boleścią, skoro rozpatrzywszy się w smutnem swem położeniu, naraz proklamował, że w społeczeństwie zrobiło się „zamięszanie" i że już wskutek tego przyjaciela od nieprzyjaciela rozpoznać trudno.

Na to jego niegdyś sojuszniczka przeciwko naszemu pismu „**Gazeta Toruńska**" pisze: (Nr. 215 VII).

„Orędownik" w pracy organizacyjnej prawie nigdy nie pomagał, lecz najczęściej bruździł i przeszkadzał, pracując dla centrowców. Niech tylko społeczeństwo nasze na dobre odczepi się od centrum, a „Orędownik" z pewnością przejdzie na jego stronę, bo w zgodnem i solidarnem społeczeństwie ten stary wichłacz nie czuje się zadowolonym i nie mógłby żyć bez warcholenia, jak ryba bez wody."

Jeszcze energiczniejsze usłyszał słowa odprawy „Orędownik" na łamach „**Dziennika Berlińskiego**" i „**Gońca Wielkopolskiego**", który pisze: (Nr. 223 VII).

„Niech sam szanowny „Orędownik" raczy wyjaśnić, co znaczą jego słowa, odnoszące się do stronnictwa narod. demokratycznego: „panowie-ci mają inne i na innem polu znajdujące się powody dlaczego atakują forsownie „Katolika", „Dzien. Śląski" i „Orędownika"? Dlaczego ta obłuda? — *Niech „Orędownik" wymieni te cele, a nie wysnuwa insynuacyi politycznych dla policyi!* Powiedziano już z innego miejsca „Orędownikowi", że jest — nie blagierem, lecz szpiclem policyjnym. Trudna dyskusya jest z pismem takiem, które wyciąga słóweczka, żeby je później denuncyować." —

Ciekawa rzecz, jak jedyny w prasie polskiej przyjaciel polityczny „Orędownika" pan Jastrzębiec z „Przegl. Wszechpolskiego" będzie bronił swego sojusznika, zaatakowanego w tak ostry sposób przez pismo, które samo oświadczyło, że stoi na gruncie stronnictwa narod. demokratycznego? Ponieważ „Orędownik" ma coprawda jedynego tylko przyjaciela w panu Jastrzębcu, *ale ten jest za to dobry*, nie wątpimy, że obie te bratnie dusze w największej harmonii ogłoszą krucyatę przeciw „Gońcowi Wielkopolskiemu", „Gaz. Toruńskiej", „Dziennikowi Berlińskiemu" i innym pismom. *B. M.*

Proces gostyński
w Lesznie.

Przed izbą karną w Lesznie toczył się dnia 3-go b. m. głośny proces z powodu znanych zajść na wiecu w Gostyniu.

Akt oskarżenia brzmi:

1) Robotnik *Wawrzyniec Kolendowicz* z Gostynia, urodzony 30-go lipca 1858 w Skokowie, w powiecie koźmińskim, katolik, kawaler, niekarany.

2) Właściciel cegielni *Michał Dabiński* z Gostynia, urodzony tamże 26-go września 1867, katolik, żonaty, niekarany.

3) Szewc *Franciszek Konieczny* z Gostynia, urodzony tamże 26-go września 1872, katolik, żonaty, niekarany.

4) Redaktor *Ludwik Hojnacki* z Poznania, urodzony tamże 15-go sierpnia 1859, katolik, żonaty, karany za przestępstwa prasowe.

5) Uczeń szewski *Sylwester Busiewicz* z Gostynia, urodzony tamże 23-go grudnia 1883, katolik, niekarany.

6) Ksiądz proboszcz *Jackowski* z Gostynia, urodzony w Inowrocławiu 30-go marca 1872, niekarany;

7) Murarz *Wincenty Dudka* z Gostynia, urodzony tamże 8-go stycznia 1870, katolik, żonaty, niekarany —

są oskarżeni, że w *Gostyniu* dnia 21 kwietnia 1901 roku:

A. Kolendowicz, Dabiński i Konieczny 1) w sposób zagrażający porządkowi publicznemu podburzali różne warstwy ludności do czynów gwałtownych; 2) wbrew lepszej wiedzy wygłaszali rzeczy nieprawdziwe celem zohydzenia władz i urządzeń państwowych.

B. Hojnacki i Busiewicz w publicznem miejscu rozrzucali druki bez pozwolenia policyi miejscowej.

C. Ksiądz Jackowski spowodował współoskarżonego Buszewicza do rozrzucania broszur.

D. Oskarżony Dudka obraził publicznie komisarza policyjnego Augustiniego przez to, że nazwał go „Luj.“

Wszyscy powyżej wymienieni wykroczyli przeciwko paragrafom 130, 131, 185, 194, 196, 200, 73 i 48 kodeksu karnego; dalej przeciwko paragrafom 10 i 41 pruskiej ustawy z 12-go maja 1851 roku.

Materyał dowodowy:

A. W części przyznali się:
1) oskarżony Konieczny,
2) oskarżony Hojnacki,
3) oskarżony Buszewicz.

B. Świadkowie:
1) komisarz policyjny Augustini z Poznania;
2) burmistrz Flieger z Gostynia;
3) nadwachmistrz Müske z Gostynia;
4) Żandarm Heyse z Gostynia;
5) Sługa policyjny Krótki z Gostynia;
6) rozwożący piwo Wietrzyk z Gostynia;
7) oberżysta Czabajski z Gostynia.

C. Mowy oskarżonych Kolendowicza, Dabińskiego i Koniecznego.

Dnia 21-go kwietnia 1901 odbyło się w sali strzeleckiej polskie zebranie z udziałem przeszło 1000 osób. Celem tego zebrania było, jak zaznaczył kupiec Józef Woziwodzki,

„zaprotestowanie przeciwko wszystkim krzywdom, wyrządzanym Polakom i obmyślenie środków obrony.“

Na tem zebraniu wygłosili mowy oskarżeni Kolendowicz, Dabiński i Konieczny. Ostatni występował już na innych zebraniach jako agitator polityczny.

Konieczny mówił nasamprzód o ucisku Polaków w ogólności, a następnie skarżył się, że dzieci polskie zniewolone są uczyć się w szkołach religii w języku niemieckim.

I mowa oskarżonego Dabińskiego zwracała się przeciwko niemieckiej nauce religii jako wykraczającej przeciwko sumieniu i naturze. Wśród oklasków wzywał zgromadzonych do pielęgnowania w domach polskich języka ojczystego dla wzmocnienia ducha polskiego, a osłabienia niemieckiego wykładu.

Oskarżony Konieczny wygłosił tylko połowę swej mowy podburzającej, ponieważ komisarz policyjny Augustini z Poznania widział się zniewolony zebranie rozwiązać. Mowa Koniecznego, o ile została wygłoszoną, omawiała nasamprzód położenie Polaków bezpośrednio po wojnie 1870/71 roku i poruszała następnie różne zajścia, które według pojęć Koniecznego, miały dowodzić ucisku Polaków w państwie pruskiem ze strony rządu.

Trzy te mowy robiły wrażenie jakoby je nie ułożyli oskarżeni, o niskim poziomie wykształcenia, lecz mężowie oświeceńsi. Proboszcz Jackowski przyznał też, że trzech powyższych mówców zaprosił do siebie i wskazał im temata. Zaprzeczył wszakże, jakoby im udzielał dalszej pomocy.

Pominąwszy ogólny, podburzający charakter trzech tych mów, znajdują się w nich ustępy, mogące i tak już porywczą ludność polską pobudzić do czynów gwałtownych przeciwko niemieckim współobywatelom.

Oskarżony Kolendowicz usiłował wykazać zgromadzonym, że rząd stale forytuje Niemców, a upośledza Polaków. Mówił on tak:

„Polską ziemię za polskie pieniądze wykupują, obcych urzędników nam tu przysyłają, a Polakom tak zazdroszczą chleba, że czasem ani stróżem nocnym, ani listowym Polak nie może zostać, bo śmietana dla Niemców.“

Rzekome zamiary rządu tak przedstawił:

„Ponieważ Polacy dotąd z głodu nie umierają, pragną nasi najserdeczniejsi przyjaciele język nam odebrać, albowiem powiadają w Berlinie, że Polacy niewdzięczny naród, za mało rządowi dziękują za dobrodziejstwa, dlatego trzeba Polaków rozumu nauczyć.“

A dalej:

„Rząd pragnie wyuczyć dzieci nasze na żołnierzy dla siebie, a nam ku większemu zmartwieniu odstawić je jako papugi, które gadają i same siebie nie rozumieją.“

W końcu usiłował Kolendowicz podburzyć Polaków przeciwko nauczycielom, mówiąc:

„Jeśli dzieci polskie nie rozumieją nauczyciela po niemiecku, odbierają kary od nauczycieli przybyszów.“

Dabiński usiłował w swej mowie nasamprzód podburzyć zgromadzonych przez to, że opowiadał o rzekomej niesprawiedliwości, wyrządzanej Polakom od roku 1870.

„Czas po wojnie francuskiej jest jednem wielkiem pasmem krzywd, popełnianych na naszej religii św. i narodowości. Walka kulturna, kolonizacya, wydalenie przeszło 40,000 naszych braci z ich Ojczyzny, systematyczne kasowanie języka polskiego ze szkół i urzędów, przesadzanie urzędników Polaków w strony obce, najnowsze szykany na poczcie i więcej takich kwiatów są na porządku dziennym.“

W ostrych słowach zwrócił się następnie przeciwko niemieckiej szkole, niemieckim nauczycielom i wydanym przez rząd rozporządzeniom szkolnym.

„Gdy się tak patrzy na te chmary dzieci polskich do szkoły idących i wie się, co tę dziatwę tam czeka, te tortury wpajania im obcego języka w sposób dresury małp i papug, to serce boleje i łzy mimo woli do ócz się cisną z powodu krzywdy niewinnej tej dziatwy...“

„...Druga kategorya nauczycieli pracuje tak, aby jak największe gratyfikacye łapać...“

„...Oto wprost zbrodnią wobec sumienia i natury jest źle uczyć dziecko.“

„...Czy ministrowie chcą, aby nasze dzieci zostały bez wiary i przeszły socyalizmem i anarchią?“

„...Z całych tych reskryptów wnosić można, że chcą nas osłabić w wierze katolickiej.“

„...Zdaje mi się jednak, że wolałby nas (minister) widzieć łajdakami i socyalistami, aniżeli dobrymi Polakami i katolikami.“

Ale najwięcej podburzającą jest mowa oskarżonego Koniecznego. Opowiada on najprzód niezgodną z prawdą historyą ucisku Polaków po roku 1870 w tych słowach:

„Mimo zagwarantowanych przez kongres wiedeński praw dla języka polskiego w urzędach, sądach i szkole, stara się rząd pruski wszelkiemi środkami przysługujące Polakom prawa uszczuplać. Do roku 1871 położenie nasze było znośne. Po zwycięztwie Niemców nad Francuzami postać rzeczy się zmieniła.

„Pamiętne są słowa naszego największego wroga, starego Bismarka: „Niemcy prócz Boga nikogo się nie boją.“ Po zwycięztwie odniesionem nad Francyą zdaje się, jakoby całe piekło przeciw nam poruszono. Z całą gwałtownością rzucono się na katolików i Polaków. Jednym zamachem chciano zniszczyć naszą świętą wiarę. Pamiętamy bardzo dobrze, jak naszych księży jakby przestępców pędzono do więzień. Niejeden ksiądz musiał wśród deszczu i słoty nocować pod gołem niebem, aby nie wpaść w ręce pruskich żandarmów.“

O rozporządzeniach i zamiarach obecnego rządu mówił Konieczny:

„Krew ścina się w żyłach, pięści zaciskają się mimowoli, patrząc na niesprawiedliwość nam wyrządzaną, Język nasz wyrzucono z urzędów, z sądów a wreszcie i szkół.

Chociaż znajdujemy się na własnej od wieków ziemi, którą otrzymaliśmy od Boga, sprzykrzyliśmy się rządowi, któryby nas jak najprędzej chciał z niej wyrugować.“

„Oto twoja ojczyzna, którą wróg chciałby ci odebrać, zatrzeć wszelkie ślady polskości, aby mógł powiedzieć: „To moje.“

Przeciwko towarzystwu ku popieraniu niemczyzny na kresach wschodnich i rządowi, podburzał Konieczny zgromadzonych w tych słowach:

„Złość i niegodziwość hakatystów i rzadu sięga jeszcze dalej, bo zakazują nam nie tylko czytać i pisać po polsku, ale pragną nas ogłodzić i wystrychnąć na żebraków.“

W końcu zwócił się Konieczny przeciwko nauczycielom gimnazyalnym i niemieckim sędziom w tych słowach:

„Tak samo utrudnia się naszej młodzieży gimnazyalnej we wszelki możliwy sposób naukę. Cieszonoby się, gdyby nie było wykształconych Polaków, gdyż narodowi polskiemu wydartoby przywódzców. Wyśledzili też hakatyści pośród gimnazyastów polskich jakiś rewolucyjny związek, który nigdy nie istniał. Z tego powodu zawezwano ich przed sąd, gdzie im chciano wmówić, że należą do związku. Ponieważ zaś nie można im było tego udowodnić, nie przypuszcza się ich nawet do egzaminów.“

Wszystkie trzy w drastyczny sposób wypowiedziane mowy miały na celu podburzanie polskiej ludności, a mówcy zamierzony cel osiągnęli, jak się można było przekonać z wzburzonego usposobienia zgromadzonych po rozwiązaniu zebrania. Przytoczone ustępy z mów pobudziły ludność polską do „gwałtów.“ Przy wrodzonej krewkości Polaków można się obawiać, że skorzystają z pierwszej lepszej sposobności, aby czynnie wystąpić przeciwko Niemcom.

Pominąwszy to, zawierają trzy wzmiankowane mowy ustępy o zarządzeniach i zamiarach rządu w części mocno przesadzone. Mówcy przedstawili rząd w fałszywem świetle, aby go zohydzić wobec polskiej ludności.

Kolendowicz naprzykład twierdził, że rząd nie traktuje Polaków na równi z Niemcami. Dalej, że Bismark wychował ludzi, którzy urządzali zamachy na cesarzy, a potem ogłaszano ich za obłąkanych.

Dabiński twierdził, że wszystkie rozporządzenia, odnoszące się do prowincyi poznańskiej, mają na celu osłabienie wiary w katolikach, a ministrowie woleliby widzieć Polaków łajdakami i socyalistami, aniżeli dobrymi Polakami i katolikami.

Konieczny usiłował wykazać, że państwo Polaków usuwa z urzędów i pragnie narodowość polską wytępić, a towarzystwo ku popieraniu niemczyzny pragnie Polaków ogłodzić i wystrychnąć ich na żebraków. Wreszcie, że władze bez żadnych dowodów karają polskich gimnazyastów za należenie do zakazanych związków w ten sposób, że nie dopuszczają ich do egzaminów.

Jakkolwiek wszyscy trzej oskarżeni nie posiadają wyższego wykształcenia, to jednakże przyjąć można, iż wiedzieli, że mowy ich w tej formie nie odpowiadały prawdzie. Tak samo nie ulega wątpliwości, że oskarżeni wygłaszając nieprawdę co do rozporządzeń rządu odnośnie do Polaków, pragnęli rząd zohydzić.

Cel swój osiągnęli też przez to, że podsuwali rządowi pruskiemu motywa, które mogły go zohydzić. Oskarżony przyznał, że mowę swoją samodzielnie opracował, a ksiądz Jackowski poddał mu tylko główne punkta. Oskarżeni Kolendowicz i Dabiński odmówili sędziemu śledczemu wszelkich wyjaśnień.

Podczas zebrania rozrzucał oskarżony redaktor Hojnacki z estrady broszurki z opisem wieca witkowskiego, nie mając na to pozwolenia od miejscowej policyi.

Tak samo po rozwiązaniu zebrania rozrzucał oskarżony Buszewicz w ogrodzie strzeleckim jakieś broszurki, również bez pozwolenia.

Buszewiczowi wręczył broszurki ksiądz proboszcz Jackowski z wezwaniem, aby je rozdał. Zaprzeczył temu Buszewicz przed sędzią śledczym, ale przyznał się poprzednio wobec żandarma.

Gdy po rozwiązaniu zebrania dozorujący je komisarz Augustini w towarzystwie burmistrza Fliegera przeciskał się przez tłumy Polaków, obok lokalu Czabajskiego, murarz Dudka zawołał na Augustiniego: „Luj“. Dudka oświadczył przed sędzią śledczym, że nie wołał „Luj“, lecz „ty daj łój“, a ze słowami temi zwrócił się nie do komisarza, lecz do personalu restauracyjnego.

* * *

Proces rozpoczął się około godziny 12 w południe w sądzie ziemiańskim, mieszczącym się w pięknym, dawniejszym zamku Leszczyńskich.

Jak wielkie zaciekawienie budził ten pierwszy proces z powodu wieca, dowodzi liczny udział reprezentantów najrozmaitszych pism polskich i niemieckich oraz przepełniona trybuna publicznością z Leszna i Gostynia.

Kolegium sędziów tworzyli: przewodniczący dyrektor sądu ziemiańskiego leszczyńskiego Schlütter oraz sędziowie: Bombe, Grebel, dr. Hackenthal i Ribbeck. Publicznym oskarżycielem był pierwszy prokurator p. Casper.

Na ławie oskarżonych zasiedli: mówcy wiecowi robotnik *Kolendowicz*, właściciel cegielni *Dabiński*, szewc *Konieczny*. Dalej odpowiedzialny redaktor „Dziennika Poznańskiego“ *Ludwik Hojnacki*, ksiądz proboszcz *Jackowski* i uczeń szewski *Buszewicz*, oskarżeni o rozdzielanie lub namowę do rozdzielania broszur z opisem wieca witkowskiego. Wreszcie murarz *Dudka* o obrazę asesora policyjnego Augustiniego z Poznania, dozorującego wiec w Gostyniu.

Po stwierdzeniu personaliów oskarżonych, rozpoczął przewodniczący ich badanie.

Pierwszy *Kolendowicz* przyznaje, że mówił z polecenia ks. proboszcza Jackowskiego jako członka komitetu wiecowego, ale odpierał zarzut, jakoby sam mowy nie opracował.

Przew.: O czem pan mówiłeś?

Osk.: O tem, że dzieci nasze uczą się w szkole religii po niemiecku.

Przew.: **Nie przypuszczam, żeby już najmłodsze dzieci polskie pobierać miały naukę w języku niemieckim.**

Osk.: A jednak tak jest, chociaż dzieci tej nauki nie rozumieją.

Przew.: Czy panu kto mowę przeglądał?

Osk.: Ksiądz proboszcz Jackowski, ale wskazówek nie dawał.

Przew.: Czy wygłosiłeś pan tę mowę, którą podał „Dziennik Poznański?“

Osk.: Mniej więcej.

Drugi oskarżony p. *Dabiński*, obywatel inteligentny, odpowiada stanowczo i jasno. Na zapytanie przewodniczącego oświadczył, że celem wiecu było zaprotestowanie przeciwko reskryptom ministeryalnym i krzywdom wyrządzanymPolakom.

Przew.: Czy dzieci w szkole nie uczą się wcale języka polskiego?

Osk.: Nie!

Przew.: Ale przecież zanim zaczną uczęszczać do szkoły, uczą się w domu?

Osk.: To prawda, ale to nie wystarcza, my pragniemy, aby dzieci nasze uczono i w szkole języka ojczystego.

Przew.: Polacy powinni znać język niemiecki.

Osk.: Zupełnie się na to zgadzam. My też bynajmniej nie protestujemy przeciwko językowi niemieckiemu, bo nam jest potrzebny, chcemy tylko, aby go uczono za pomocą innej metody, nie takiej, jaką dziś posługują się w szkołach.

Trzeci oskarżony *Konieczny* zapewnia, że z powodu jego mowy wieca nie rozwiązano, lecz dlatego, że ktoś zawołał: zbrodniarze!

Przew.: O czem pan mówiłeś?

Osk.: O ogólnem położeniu, mianowicie po roku 1870.

Przew.: Czy ono zmieniło się na niekorzyść Polaków?

Osk.: O i bardzo.

Przew.: Czy może panu kto mowę napisał?

Osk.: Sam ją opracowałem.

Przew.: Czy sądzisz pan, że to, co powiedziałeś, polegało na prawdzie?

Osk.: Tak jest, nieprawdy nie mówiłem. Krytykować rządu nie chciałem, ani też nikogo podburzać.

Przew.: Czy mowę pańską kto przed wygłoszeniem czytał?

Osk.: Nikt.

Oskarżeni *Hojnacki* i *Buszewicz* przyznają, że broszury rozdzielali, tak samo przyznaje oskarżony ks. prob. *Jackowski*, że do tego spowodował Buszewicza.

Oskarżonemu murarzowi *Dudce* zarzucał akt oskarżenia, że po wiecu na przechodzącego obok lokalu Czabajskiego komisarza policyjnego Augustiniego zawołał: „Luj“.

Przew.: Czy tak pan wołałeś?

Osk.: Nie prawda. Wychodziłem z lokalu, a ponieważ wyjście zatamowało kilka dziewczyn, zawołałem: „oddaj łój“.

Przew.: Cóż to znaczy?

Osk.: Takie jest w Gostyniu przysłowie.

Przew.: Jakie ono ma znaczenie?

Osk.: Nie wiem.

Oskarżony *Dabiński* wyjaśnia, że przysłowie to pochodzi od pewnego rzeźnika gostyńskiego.

Na żądanie prokuratora odpowiada ks. *Jackowski*, że mówcy byli u niego, porozumiewał się z nimi w sprawie mów, i wskazał im tylko temata. Zalecał jednak mówcom, żeby byli powściągliwi w wyrażeniach. Widział wprawdzie mowy, ale ich nie czytał.

Po różnych jeszcze badaniach pierwszych trzech oskarżonych, odczytał tłomacz p. *Jarosz* mowy po polsku, a przewodniczący po niemiecku.

Na zapytanie przewodniczącego odpowiadają oskarżeni, że mowy, które zamieścił „Dziennik Poznański“, wygłosili.

Przew. do Kolendowicza: Nie podobna, abyś pan mowę swoją napisał.

Kol.: Tak, napisałem.

Przew.: Czy istotnie chciałeś pan zaprotestować przeciw krzywdom?

Kol.: Tak.

Przew.: Czy nie powiedziałeś pan za wiele? Co ma znaczyć, że Polacy nie mogą zostać nawet listonoszami lub stróżami?

Kol.: Polaków odsuwają od wszystkich urzędów. Znam wielu listonoszów, których nie przyjęto. Sam chciałem być stróżem, ale zamiast mnie, przyjęto Niemca.

Przew.: Powiedziałeś pan w swojej mowie, że w Berlinie mówią: Polaków trzeba nauczyć rozumu, bo są niewdzięczni, gdyż z głodu nie umierają, a nieprzyjaciele chcą im odebrać język. Cóż to za nieprzyjaciele?

Kol.: Hakatyści, bo tam są najmocniejsi.

Przew.: Nie rozumiem.

Obrońca oskarżonych mecenas Woliński wyjaśnia, że hakatyści podburzają rząd. W Berlinie jest ich główne siedlisko, z radzcą sprawiedliwości p. Wagnerem na czele i ztamtąd też wychodzą wszystkie ich rozkazy.

Przew.: Co znaczy ustęp z pańskiej mowy; dzieci polskie nie uczą się po polsku, rządowi chodzi o to, aby miał dobrych żołnierzy, ale z dzieci robią się papugi.

Kol. milczy.

Przew.: Czy nauczyciele karzą dzieci, jeśli one ich nie rozumieją?

Kol.: Tak.

Przewodniczący do oskarżonego *Dabińskiego:* Twierdziłeś pan w mowie, że po wojnie niemiecko-francuskiej zmieniło się położenie na niekorzyść Polaków.

Oskarżony: Prawda, dowodzą tego różne ustawy antypolskie, między innemi też wydalenie z Prus 40,000 niewinnych Polaków.

Przew.: Myślę, że wydalono obcokrajowców. Nie wiem dokładnie.

Oskarż.: Byli to Polacy osiadli tu od lat kilkudziesięciu, którzy przez nagłe wydalenie ponieśli wielkie szkody.

Przew.: Przyznaję, że masz pan racyą. Niektórzy dosłużyli się w wojsku nawet stopnia feldwebla.

Osk.: A cóż mówić o ustawie kolonizacyjnej i innych ustawach?

Przew.: Wszystkie rozporządzenia uważasz pan za krzywdzące Polaków? Powiedziałeś, że dzieci torturują.

Oskarżony: Inaczej tego nazwać nie można.

Przew.: Wiem, że w szkole są nauczyciele, nie znający języka polskiego. Czy nauczycielom rzeczywiście nie wolno uczyć po polsku?

Osk.: Nie.

Przew.: Czy dzieci polskie naprawdę nie rozumieją dobrze po niemiecku.

Osk.: Nie. Przecież dzieci polskie do szóstego roku życia mówią w domu wyłącznie językiem ojczystym, zkądże tedy, gdy zaczną chodzić do szkoły, może nauczyciel rozmawiać z niemi tylko po niemiecku?

Przew.: Czy pan pragniesz, aby dzieci polskie umiały po niemiecku?

Osk.: Ależ naturalnie, przecież to jest dla nas Polaków kwestya chleba.

Prokurator wnosi o przesłuchanie inspektora szkolnego, aby się od niego dowiedzieć, czy rzeczywiście wydano rozporządzenia ministeryalne, zabraniające zupełnie nauki języka polskiego, jak to twierdził oskarżony Dabiński.

P. mecenas *Woliński* wnosi o odroczenie grocesu i powołanie świadków, których on zaproponuje. Zresztą zastrzega sobie p. mecenas dalsze wnioski.

Trybunał uchwala w myśl prokuratora powołać inspektora szkolnego powiatu leszczyńskiego i bezzwłocznie go zaprosić.

Przew. dalej do *Dabińskiego*: Powiedziałeś pan, że w urzędach nie można się porozumiewać po polsku.

Osk.: Prawda.

Przew.: W Prusach urzędowym językiem jest niemiecki. Tak samo we wszystkich innych krajach jest językiem urzędowym język odnośnej ludności — z wyjątkiem Austryi, która złożona jest z różnych narodowości. Czy kto ogranicza język polski w Prusach?

Osk.: Naturalnie, a przecież król pruski Fryderyk IV zagwarantował go ludności polskiej.

Przew.: Jak się działo dawniej w szkołach, nie wiem.

Osk.: Dawniej uczono po polsku i po niemiecku.

Przew.: Przyznaję, że teraz posługują się innym systemem. A więc pan sądzisz, że chodzi o wyrugowanie języka polskiego?

Osk.: Tak, my zaś chcemy, żeby dzieci nasze uczyły się po polsku i po niemiecku.

Przew.: Powiedziałeś pan także na wiecu, że poczta posyła listy z polskiemi adresami do biura tłomaczeń.

Osk.: Tak, dzieje nam się krzywda wielka, ponieważ tracimy i materyalnie.

Przew.: Zdaje mi się, że wyczytałem z gazet, iż Polacy odnieśli w tym względzie zwycięztwo, a p. Podbielski rozporządzenie odnośne zniósł.

Osk.: Bynajmniej.

P. mecenas *Woliński* przytacza dowody szykan pocztowych i wykazuje przykładem, że za wyraz „szykany“ sąd nawet kogoś uwolnił.

Przew. do *Dabińskiego*: Powiedziałeś pan jeszcze w swej mowie, że zanik religii wytwarza legiony gałganów i socyalistów. Cóż to znaczy?

Osk.: To znaczy, że dzieci, które nie rozumieją religii, gdy wyrosną, zamieniają się na socyalistów.

Przewodniczący do trzeciego oskarżonego *Koniecznego:* Powiedziałaś pan w mowie wiecowej, że od wojny niemiecko-francuzkiej datuje się prześladowanie Polaków.

Osk.: Tak. Przecież pamiętną jest walka kulturna, kiedy to księży pędzono do więzień.

Przew.: *Prawda.* Czy sądzi pan, że rząd osłabia religią?

Osk.: Naturalnie, religia się osłabia, a winien temu rząd.

Przew.: Co pan chciałeś powiedzieć przez to, że krew w żyłach się ścina a pięści się zaciskają?

Osk.: Prawda, że krew w człowieku się burzy, ale bynajmniej nie chciałem podburzać wiecowników.

Przew.: Pan wiesz pewnie, że u nas były rewolucye?

Osk.: Były, ale przed kilkudziesięciu laty.

Prokurator: Ostatnia w r. 1863.

Mecenas *Woliński:* W 1863 r. było powstanie w Królestwie Polskiem. Chciały się do niego przyłączać garstki z Prus, ale je przytrzymano na granicy.

Przew.: Zgadza się z prawdą.

Przewodniczący do Koniecznego: Powiedziałeś pan, że komisya kolonizacyjna wykupuje polską ziemię, a rząd chce Polaków zniszczyć.

Osk.: Nietylko ja, ale wielu Niemców tak sądzi.

Przew.: Jak to pan rozumiesz: zniszczyć?

Osk.; Wykupując ziemię, skazuje się Polaków na zagładę. Przecież i król pruski Fryderyk IV powiedział do Polaków: „I wy macie ojczyznę, a język wasz możecie pielęgnować.“

Przew.. Kto to jest nieprzyjacielem Polaków?

Osk.: Hakatyści.

Przew.: Co to znaczy, że Polaków chce się ogłodzić?

Osk.: Skoro np. władza wojskowa zakazuje kupować od Polaków, w takim razie ich się ogładza.

Przew.; Czy Polacy nie bojkotują Niemców?

Osk.: Nie.

Przew.: Co znaczy zarzut pański, że Polacy nie mają być wykształceni?

Osk.: Pragnął pozbawić Polaków przywódzców.

Przew.: A więc według pana wszystko to powodują hakatyści?

Osk.: Tak, bo gdyby nie oni, rząd byłby dla Polaków względniejszy.

Przew.: Co znaczy pańskie twierdzenie, że Polaków chcą wytępić (ausrotten)?

Osk.: Skoro polską ziemię wykupują, to nas chcą wytępić, co zresztą powiedział gdzieś jakiś uczony, jak wyczytałem w gazetach.

Nastąpiło przesłuchanie świadków.

Dozorujący wiec gostyński asesor policyjny Augustini z Poznania zeznaje na pytanie przewodniczącego, że zagajający wiec obywatel Woziwodzki powiedział, iż Polacy nie chcą demonstrować, lecz bronić swych praw.

Przew.: **Każdy obywatel pruski ma prawo stawać w obronie swoich praw.**

Aug.: W mowie Kolendowicza nie zauważyłem nic niebezpiecznego. Tak samo i w mowie Dabińskiego.

Przew.: Jakie prawo panu przysługuje co do rozwiązywania zebrań?

Aug.: Przepisów w tym względzie niema, zależy to od pojęcia urzędnika, który dbać powinien, aby nie zohydzano władz i nie głoszono kłamstw.

Przew.: Dlaczego pan rozwiązałeś wiec?

Aug.: Dlatego, że Konieczny użył wyrażenia, że Polaków nie przypuszczają do egzaminów, aby nie było przywódzców polskich. Dalej twierdził, że rząd wszystko robi, co chcą hakatyści.

Przew.: Twierdzę, że w prowincyi poznańskiej między sędziami jest najwięcej 2 hakatystów(?). **Co do mnie, stanowczo wypieram się hakatyzmu, nie zgadzałoby się to z mojem stanowiskiem urzędowem.**

(Von meinem persönlichen Standpunkte aus halte ich es mit den Pflichten eines Richters nicht für vereinbar, dem HKT-Vereine anzugehören, weil dadurch meine Objectivität als Richter angezweifelt werden könnte.)

Przew.: Czy pan wiec rozwiązałeś dopiero wtedy, gdy padł na sali wyraz: zbrodniarze?

Aug.: Byłbym i bez tego rozwiązał.

Mecenas Woliński przypomina, że p. Augustini przyznał wobec hr. Marcelego Żółtowskiego i posła Głębockiego, że gdyby nie wyraz „zbrodniarze“, nie byłby wieca rozwiązał.

Aug.: Może być, że to powiedziałem.

Przew.: Czy mówców oklaskiwano?

Aug.: O i bardzo, a najwięcej przy słowach: sprawiedliwości, sprawiedliwości, sprawiedliwości!

Przew.: Czy wzywano do gwałtów?

Aug.: Nie. Wyrazu „Luj“ też nie słyszałem, ale po wiecu odgrażano mi się, a padały wyzwiska „ty psiakrew“ i podobne.

W końcu oświadcza pan Augustini, że nie wierzy, aby mowy wygłoszone mówcy sami opracowali.

Świadek burmistrz gostyński p. Flieger potwierdził mniej więcej zeznania p. Augustiniego, ale wyzwisk nie słyszał.

Przybył w tym czasie inspektor szkolny powiatu rawickiego.

Przew.: Czy dzieci polskie zaraz z chwilą wstąpienia do szkoły pobierają religią w niemieckim języku?

Ins.: Dopiero później.

Przew.: Czy do czysto polskiej szkoły przyjmuje się nauczycieli nie władających językiem polskim?

Insp.: Nigdy.

Przew.: **A jednak wiem, że w pewnej miejscowości urzędował nauczyciel z Westfalii, nie znający języka polskiego.**

Insp.: milczy.

Przew.: Czy wcale nie uczą języka polskiego w szkołach?

Insp.: O tak, na średnim stopniu.

Oskarżony p. Dabiński, poprosiwszy o głos, wyraża radość, że słyszy, iż rząd łagodniej postępuje. Ale niestety słowa p. inspektora nie zgadzają się z prawdą, gdyż jako członek dozoru szkólnego stwierdzić musi, że **urzędują nauczyciele, nie rozumiejący słowa po polsku.**

Inspektor **przyznaje, że może na wsiach, gdzie brak nauczycieli.**

Mecenas Woliński zapytuje pana inspektora szkolnego, czy mu wiadomo o rozporządzeniu, **zabraniającem nauczycielom rozmawiać w domu z żoną i dziećmi po polsku.** Rozporządzenie takie zostało wydane.

Inspektor odpowiada, że o rozporządzeniu takiem nie wie, ale jest **obowiązkiem moralnym nauczycieli,** aby pielęgnowali w domach język niemiecki.

Mecenas Woliński: Halten Sie es für richtig, dass den polnischen Lehrern anbefohlen wird, zu Hause mit den Familienmitgliedern deutsch zu sprechen?

Insp.: Ja ich halte das sogar für moralische Pflicht des Lehrers.

Mecenas Woliński: Eine solche Moral ist für mich allerdings unverständlich — ich halte dies für direkt unmoralisch.

Świadek wachmistrz żandarmski Müske słyszał, jak oskarżony Dudka zawołał na ulicy „Luj" czy „łój", natomiast świadek Wietrzyk, rozwoziciel piwa, twierdził, jako Dudka zawołał „oddaj łój."

Świadkowie policyant Krótki i oberżysta Czabajski o niczem nie wiedzą.

Świadek żandarm Heise powiedział, że nie widział żadnego wzburzenia. O czem w sali mówiono, nie wie, bo nie rozumie po polsku.

Na tem skończyło się postępowanie dowodowe, poczem prokurator wygłosił swoje plaidoyer. „W długim łańcuchu wielkopolskiej agitacyi ogniwem jest też i wiec gostyński. Polacy — wprawdzie nie wszyscy — podburzają, jak to wynika z gazet, przeciwko rządowi. Mowy, które trzej oskarżeni wygłosili, nie wyszły z ich głowy. Za nimi stoi ktoś inny, któremu mówcy zawdzięczają, że zasiedli na ławie oskarżonych. Wszyscy mówcy są rzemieślnikami i podsuniętymi przez komitet wiecowy. W dalszym ciągu rozwodził się o kwalifikacyi mówców i treści mów, które zdaniem prokuratora, były podburzające. Wódka odgrywała w tym czasie wielką rolę, bo wiec odbywał się w niedzielę po południu. Przyznał też pan prokurator, że Polacy są gorącymi patryotami i skupiają się (?).

Dalej rozbierał różne ustępy mów, rzekomo najwięcej podburzające. Z mowy Koniecznego wywnioskował, że mówiąc o najzawziętszych nieprzyjaciołach Polaków miał na myśli nie hakatystów, lecz rząd. Dabiński jako człowiek inteligentny również za daleko się posunął. O wydalaniu Polaków z Prus nie ma mowy, wydalono wprawdzie, ale obcokrajowców. Pruskiego poddanego nigdy się nie wydala. Starał się zaprzeczyć, jakoby dzieciom polskim wyrządzano krzywdę. Zaprzeczył temu przecież zresztą inspektor szkolny. Co do gratyfikacyi nauczycieli za naukę języka niemieckiego, co podniósł podczas rozprawy mecenas Woliński, to mogą zachodzić odosobnione przypadki. W twierdzeniu tem upatrywać przeto trzeba ciężką obrazę stanu nauczycielskiego. Również nie prawda, jakoby rząd osłabiał religią. Tego rząd nie czyni, a pan Dabiński nie ma na to dowodów.

Konieczny stanowczo mowy nie opracował, ojcem jej jest ktoś inny, a szkoda, że oskarżonych nie można zaprzysiądz, boby się sprawa wydała. Komisya kolonizacyjna kupuje od Polaków i Niemców, nie zaś dla dokuczania Polakom, lecz dla wzmocnienia niemczyzny. Nie prowadzi się walki przeciw skromnym polskim obywatelom, lecz przeciw agitatorom. HKT. założono tylko dla wzmocnienia niemczyzny. Polacy mięszają hakatystów z rządem, zupełnie niesłusznie, gdyż hakatyści, to prywatni ludzie. O nieprzypuszczaniu Polaków do egzaminów nie może być mowy, wydarzył się może jaki wyjątkowy wypadek, o którym p. prokuratorowi nie wiadomo. Asesor policyjny Augustini powinien był wcześniej rozwiązać wiec, ale był względny. Wiec był gwałtowny i niebezpieczny.

Polacy więc niesłusznie się skarżą, że rząd nie bierze ich w obronę, lecz krzywdzi. Wytępić Polaków dwustu milionowym funduszem nie można, a o jakichś, ustawach antipolskich p. prokurator nie wie (!!!) Zresztą rząd pruski wszystkim poddanym mierzy równą miarą. Pan prokurator wniósł dla Koniecznego **4 miesiące,** dla Kolendowicza **2 miesiące,** dla Dabińskiego **1 miesiąc** więzienia. Dla Hojnackiego 50, dla ks. proboszcza Jackowskiego 60 marek kary. Dla Buszewicza żądał nagany. Dudka musi być uwolniony, bo mu nie udowodniono, że powiedział na p. Augustiniego „Luj".

Następnie w świetnej, przekonywającej, z temperamentem wygłoszonej, przeszło godzinnej mowie, którą poniżej podajemy w obszernem streszczeniu, zasłużony wielce w politycznych procesach szanowny mecenas pan *Woliński* zbijał punkt po punkcie wywody pana pierwszego prokuratora Caspra. Pan mecenas w znakomity sposób wykazał nasze upośledzenie. Świetna obrona wywarła potężne wrażenie na trybunale. Całe kolegium sędziowskie przysłuchiwało się jej przeszło godzinę z wielkiem zajęciem.

Wszyscy obecni adwokaci winszowali mecenasowi p. *Wolińskiemu* tej świetnej obrony. I my się przyłączamy do winszujących i składamy wyrazy najwyższego uznania dla — pogromcy Karnapów, Augustinich i wszystkich hakatystów.

Jakie wrażenie wywarła mowa mecenasa p. *Wolińskiego* na trybunale, dowodzi najlepiej fakt, że po półgodzinnej naradzie ogłosił przewodniczący p. Schlütter wyrok, **uwalniający wszystkich oskarżonych.** W motywach pan przewodniczący z naciskiem podniósł, że trybunał nie znalazł w wygłoszonych mowach w Gostyniu **nic podburzającego ani też wykraczającego przeciw rządowi.**

Proces trwał 10 godzin.

* * *

Mowa mecenasa Wolińskiego.

Pan prokurator widocznie w braku możności dostatecznego uzasadnienia oskarżenia ze stanowiska jurystycznego oparł swe wywody głównie na ogólnie znanych wycieczkach politycznych przeciw Polakom, których niezliczoną moc co dzień prawie czytamy w wrogich nam organach prasy niemieckiej, mianowicie hakatystycznej. Ponieważ nam prawnikom powinno chodzić tylko o to, czy na rezultacie postępowania dowodowego można oprzeć zastosowanie odnośnych przepisów kodeksu karnego, na mocy których oskarżenie zostało wytoczone, dlatego nie będę, jak pan pierwszy prokurator, obracał się jedynie w ogólnikowych frazesach politycznych, lecz zupełnie objektywnie będę traktował rzecz ze stanowiska czysto jurystycznego, a polityki dotknę tylko o tyle, o ile tego będzie koniecznie potrzeba do wyjaśnienia, czy i o ile skonstatowane fakta uzasadniają zastosowanie odnośnych przepisów prawnych i o ile mi będzie chodziło o sprostowanie i odparcie zupełnie i z gruntu fałszywych niektórych twierdzeń z ogólnej polityki, postawionych przez p. prokuratora.

W pierwszej linii są oskarżeni Kolendowicz, Dabiński i Konieczny o przestępstwo przeciw § 130 kodeksu karnego, to jest, że w mowach swoich podniecali rozmaite klasy ludności przeciw sobie do gwałtów. Do zastosowania tego paragrafu potrzeba skonstatować, że oskarżeni mieli tę samowiedzę, że swemi mowami mogą różne klasy ludności do gwałtów podburzyć (Bewustsein) i że rozmyślnie to czynili (vorsätzlich), że chcieli właśnie rozmaite klasy ludności, a nie jednostki do gwałtów podburzyć, że środki, które do tego wybrali, a więc inkryminowane mowy, były do tego celu odpowiedniemi i że w danych warunkach mogli przypuścić, że rzeczywiście jest możliwość wywołania tych gwałtów. Jeśli choćby jeden z tych punktów nie został udowodniony, to oskarżenie upada. Ja twierdzię, że w żadnym z powyższych punktów nie można oskarżonym winy udowodnić.

Ażeby na powyższe pytania odpowiedzieć, należy uwzględnić osoby oskarżonych, ich przeszłość, ich charakter, okoliczności, w jakich mów się podjęli, charakter komitetu, zebrania samego i cel takowego.

Co do osób i charakteru oskarżonych to są oni, jak burmistrz zeznał, bardzo spokojni, poważni obywatele, zajmujący się swoim zawodem, nie skłonni do żadnych gwałtów, nie karani, nie są też, jak im to chciał pan prokurator udowodnić, agitatorami politycznymi z zawodu. O jednym Koniecznym, powiedział p. burmistrz, że jest bardzo ruchliwym Polakiem (rühriger Pole), bo należy aż do dwóch towarzystw polskich, przemysłowców i śpiewaków, ale to nie jest nic takiego, coby pod względem politycznym go kompromitowało, jak sam pan prokurator przyznał i pan przewodniczący wyraźnie zakonstatował.

Do mów spowodowani zostali przez komitet, który ich do tego wybrał. Skład tego komitetu jest tego rodzaju, że daje zupełną gwarancyą, iż nie dopuści do tego, by na wiecu stało się coś, coby dało powód policyi do wkroczenia i rozwiązania wieca. Oskarżeni omówili wprzód swe mowy, a raczej treść ich z ks. prob. Jackowskim — stanowczo protestować muszę przeciw twierdzeniu pana prokuratora, że autorem tych mów był kto inny, i to ktoś, kto niedaleko od nas siedzi, t. j. widocznie ks. prob. Jackowski. Oskarżeni wyraźnie temu zaprzeczyli. Bardzo się pan prokurator myli, jeśli sądzi, że może prócz Dabińskiego inni nie są zdolni do wypowiedzenia takich mów.

Z własnego doświadczenia mogę zaręczyć, że ludzie z tem samem wykształceniem, co Kolendowicz i Konieczny, zadziwiająco ładne mowy na wiecach wygłaszali, a więc i robotnicy.

Ks. Jackowski tylko temata nieco z oskarżonymi Kolendowiczem i Koniecznym omówił — i nie rozumiem, jak ewentualnie prokurator ks. Jackowskiemu z tego jakikolwiek zarzut robić może.

Przeciwnie, władze rządowe powinny być wdzięczne ks. Jackowskiemu i innym osobom z inteligencyi za to, że się podobnemi rzeczami zajmują, gdyż wtedy mogą być pewne, że się nic zdrożnego nie zrobi. Sam pan przewodniczący zaznaczył, że każdy obywatel ma podług konstytucyi prawo w ogólnych zebraniach przemawiać i ludność ma prawo na takich wiecach wytaczać skargi przeciw krzywdom, jakie im się podług ich wewnętrznego przekonania dzieją. A pozostawić to tylko ludziom bez wykształcenia wyższego, idącym tylko za popędem serca i chwilowego rozgoryczenia, możeby dla rządu było gorzej. Dlatego powiadam, władze powinny być wdzięczne ludziom z inteligencyi, że biorą kierownictwo podobnych zebrań. I w tym przypadku się to okazało.

Ksiądz J. wyraźnie ludowców upominał, by nie powiedzieli nic takiego, coby mogło wywołać jakie nieprzyjemności ze strony obecnych reprezentantów władzy i niebezpieczeństwo rozwiązania wieca. To było wręcz dyrektywą dla mówców — tak dzieje się przy każdym wiecu. Oskarżeni więc wiedzieli, w jakich granicach się trzymać i jeśli jedno lub drugie słowo ostrzejsze padło z ich ust, to jak najwidoczniej z powyższego, że nie widzieli w niem nic karygodnego.

Mowy mówili z pamięci, ale trzymali piśmienne koncepta w ręku, zupełnie otwarcie, tak, że każdej chwili reprezentant policyi mógł je w rękę dostać, co się też tutaj stało. Gdyby rzeczywiście mieli tę samowiedzę, że mówią coś karygodnego, toby piśmiennych konceptów w ręku nie trzymali, tylko z pamięci mowy swe wygłaszali, gdyż „scripta manent, verba volant", — łatwiej chwycić policyi za pismo i mieć dowód niewzruszony, niż za słowo. Wreszcie i komitet i oskarżeni tyle z pewnością wiedzieli, że w razie jakiego nierozważnego słowa może nastąpić każdej chwili rozwiązanie wieca, a przecież najgorętszem życzeniem ich mogło tylko być, ażeby wiec do końca doprowadzić, a mianowicie do przyjęcia rezolucyi. Nie mogli więc w żaden sposób oskarżeni mieć chęci wypowiedzenia czegoś karygodnego i samowiedzy, że to czynią.

Logika pana prokuratora dziwną jest zaiste; jak mu właśnie jest na rękę, tak dedukuje. Raz powiada, że oskarżeni są tak mało inteligentni ludzie, iż nie mogą podobnych mów sobie skoncypować, drugi raz, że tyle muszą posiadać inteligencyi, iż powinni wiedzieć, że te lub owe słowa są karygodne. Tak logiką potrząsać nie można! Ja twierdzę, że oskarżeni mówcy o tyle są inteligentni, by podobne mowy mogli sobie skoncypować, i tyle z czytania gazet wiedzieli, że za nierozważne słowa policya wiece rozwięzuje, ergo byli przekonani, że nic karygodnego nie mówią, bo tegoby nie zrobili.

Co do charakteru wieca, to sam przewodniczący, Woziwocki, na wstępie zaznaczył:

„Nie chcemy demonstrować, nie chcemy hecy urządzać, lecz zebraliśmy się na to, by bronić swych praw."

Pan komisarz Augustini wyraźnie też powiedział, że wszyscy mówcy jako cel swych wystąpień to samo zaznaczyli. I tak powiedział Kolendowicz:

„Jeśli się siebie, pojedyńczego robotnika, zapytam, co mnie powoduje na takim wiecu wystąpić, to muszę powiedzieć, że tylko chęć powiedzenia wam, iż i my, zwyczajni robotnicy, czujemy boleśnie krzywdę, jaka się nam i dzieciom naszym dzieje."

Dabiński wyraźnie zaznaczył, że zgromadzeni winni na legalnej drodze domagać się od rządu zniesienia krzywd i poprosić ks. Arcypasterza, by tylko duchowni udzielali nauki religii św. dzieciom naszym w języku ojczystym.

Tego samego żądał i Kolendowicz, nawołując zebranych, by kierowali się bratnią miłością, by rozpacz nikogo nie ogarnęła, by wznieśli oczy do Boga i Najśw. Panny Częstochowskiej i nadziei nie tracili.

Panowie sędziowie! Kto z serca zbolałego taki okrzyk pełen bojaźni Bożej wydaje, ten nie może mieć na myśli podburzania ludzi do gwałtów!

Niech rząd będzie zadowolony, że ma takich poddanych, i niech lepiej zwróci swe argusowe oczy w inną stronę, zkąd mu prawdziwe niebezpieczeństwo od partyi przewrotu i własnych ziomków, rzucających się na głowy ukoronowane, grozi.

To, czego oskarżeni żądali, niczego nie zawiera, coby mogło zagrażać porządkowi publicznemu lub bezpieczeństwu państwa; to jest najmniej czego spokojny obywatel, przeświadczony głęboko o tem, że w jego najświętszych uczuciach i przyrzeczeniami królewskiemi jako też konstytucyą zagwarantowanych prawach ciężka krzywda mu się stała — może i musi żądać.

Wprost więc oskarżeni do gwałtów ludności nie podburzali i tego też sam prokurator twierdzić nie może. Stara się więc z rozmaitych zwrotów wydedukować, że oskarżeni podobną chęć i samowiedzę mieli, ale i pod tym względem są dedukcye prokuratora zupełnie nie trafne. Z góry zaznacza, że chodzi tu o zgromadzenie publiczne, na którem nie mówi się tak może spokojnie i z rozwagą, jak może w prywatnej rozmowie. Jeżeli już mówcy wytrawni, doświadczeni w ciałach prawodawczych, w parlamentach i sejmach mianowicie, gdy chodzi o kwestye budzące większy interes, zwłaszcza polityczne, dadzą się w uniesieniu swojem porwać do wypowiedzenia czegoś, czegoby przy spokojnej zimnej rozwadze nie wypowiedzieli, za co nieraz przez prezydentów bywają do porządku przywoływani, a czego nie tylko w austryackim, ale i w naszym parlamencie w ostatnim czasie bardzo silne mieliśmy dowody (ganz derbe Beweise) i to właśnie u posłów niemieckiej narodowości, to jakże się dziwić, że ludzie, którzy nie mają tego parlamentarnego doświadczenia, jak nasi twórcy praw (Rechtserzeuger), którzy, jak oskarżeni, dopiero pierwszy raz na podobnych zebraniach jako mówcy występują, dadzą się podobnemu uniesieniu porwać? A u nich jeszcze z innego powodu można to sobie prędzej wytłumaczyć.

Tu chodzi o ludzi, którzy się czują w swych najświętszych prawach ciężko pokrzywdzeni. Czy i o ile to ich uczucie jest uzasadnione, w to na razie nie wchodzę, gdyż chcę pozostać na stanowisku czysto jurystycznem, ale to każdy nieuprzedzony przyzna, że subjektywnie z ich stanowiska uczucie to rozżalenia trzeba za uzasadnione uznać i każdy rozsądny jurysta z tem uczuciem przy badaniu samowiedzy karygodności czynu liczyć się musi.

Przy tej sposobności zwracam wysokiemu trybunałowi uwagę na proces, który się właśnie przed rokiem toczył przed sądem ziemiańskim w Berlinie przeciw znanym antisemitom hr. Pücklerowi i redaktorowi „Staatsbürgerzei-

tung“ Boecklerowi, obaj byli oskarżeni również o przestępstwo § 130.

Hrabia Pükler za to, że w pewnej mowie powiedział następujące słowa:

„Das einzige Mittel, die Judenfrage praktisch zu lösen ist, *durchhauen* und *rausschmeissen.* Es ist ganz *schnuppe, ob ich mit oder ohne Amtsvorsteher auf die Judenbande losdresche, gedroschen muss werden,bis die Juden windelweich gehauen und zerschmettert am Boden liegen.*“

Böckler zaś powiedział:

„Es hätte gegen die frechen Juden nach dem Recept des Grafen Pückler verfahren werden sollen, das hätte ihnen nichts geschadet.“

Sąd w Berlinie był tego zdania, że hr. Pückler bardzo się lubi kwiecisto wyrażać (bediene sich einer sehr blumenreichen Sprache) i słów jego nie trzeba brać dosłownie, tylko obrazowo, że są tylko przesady, których nie można brać na seryo i których też nikt na seryo nie bierze.

Na podstawie tego rozumowania sąd uwolnił oskarżonych.

No moi panowie, jeśli sąd w Berlinie w tych tak z pewnością więcej niż kwiecistych wyrażeniach nie widział nic zdrożnego, to z pewnością w inkryminowanych tutaj wyrażeniach już absolutnie niczego dopatrzeć się nie można, coby przeciw prawu wykraczało. A zważyć jeszcze trzeba, że hr. Pückler, jako członek wysokiej arystokracyi niemieckiej, z pewnością wysoce jest wykształcony, że jest rutynowanym mówcą na wielu zebraniach publicznych i że krzywdy, o których on mówił, ani w porównanie iść nie mogą z temi, które się nam dzieją.

Pan komisarz Augustini nie widział też w mowach Kolendowicza i Dabińskiego nic zdrożnego, gdyż powiada, w takim razie już wtedy byłby zebranie rozwiązał; wśród mowy Koniecznego przyszedł wprawdzie do innego przekonania, ale, jak później wykażę, niesłusznie. Wprawdzie p. Augustini nie ma być dla nas prawników pod względem prawnym żadnym znawcą, ale w każdym razie orzeczenie jego jest i powinno być dla nas pożądaną podstawą do wyrobienia sobie zdania, co do karygodności mów. Jeśli bowiem on, człowiek w takich rzeczach doświadczony i rutynowany, nie widział w tych mowach nic karygodnego, to jakże można tego od oskarżonych żądać i jakże można przypuścić, że słuchająca publiczność mogła być temi słowami do gwałtów podburzoną.

Celem więc mówców było roztoczyć przed zgromadzonymi obraz wszystkich krzywd, jakie nam się dzieją i polecić odpowiednie środki przeciwko temu. A czy środki gwałtowne, karygodne? Nie, najlegalniejsze w świecie! I dzieje się to na każdym wiecu, jak z doświadczenia wiem, gdyż w niektórych brałem udział, i sam nieraz przewodniczyłem.

I któreż to są zwroty mów, z których prokurator wywodzi karygodność podług paragrafu 130.

Co do Kolendowicza, to twierdzenie jego, że wykupuje się polską ziemię, za polskie pieniądze, jest niezaprzeczonym faktem, boć ów sto-, a obecnie 200-milionowy fundusz dla kolonizacyi, pochodzi z podatków państwowych, na które i my Polacy składać się musimy. Płacić więc na wykupywanie naszej ziemi, to nam wolno, ale kupować znów tę ziemię z powotem tego nie wolno.

Jeśli K. skarży się dalej na to, że zazdroszczą nam Polakom chleba, tak że Polak ani stróżem nocnym, ani listonoszem zostać nie może, toć sam K. tego na sobie doświadczył. Starał się o bardzo skromną posadę stróża nocnego w klasztorze pofilipińskim, ale nie dano mu takowej, tylko Niemcowi, choć dobra należące do klasztoru pochodzą od dobrodziejów polskich i tylko chwilowo znajdują się w administracyi rządowej.

Już w toku rozpraw na zapytanie, stawione do mnie, czy sądzę n. p., że we wsi zupełnie niemieckiej nawet Polak nie mógłby zostać stróżem nocnym, miałem zaszczyt odpowiedzieć: „Owszem, stróżem może tak, ale niczem więcej.“

Zresztą K. chciał obrazowo tylko wyrazić, że niskie urzędy są wprawdzie jeszcze dostępne dla Polaków, ale nie wyższe. Jeśli powiedział, że śmietanka urzędów jest dla Niemców, to ma zupełną racyą, bo niechże mi kto pokaże jakiego dyrektora lub prezydenta sądu, jakiego landrata lub radzcę rejencyjnego Polaka; ja znam tylko jednego dyrektora sądu ziemiańskiego i jednego radzcę sądu nadziemiańskiego polskiej narodowości w całej rzeszy niemieckiej. A co dopiero mówić o wyższych urzędach, kiedy nawet w niższych dykasteryach, n. p. między komisarzami, burmistrzami Polaków, na palcach policzyćby można.

Jeśli dalej K. mówi, że „nasi najserdeczniejsi“ chcą nam naszą mowę wziąść, to miał na myśli, jak powiada, hakatystów i jeszcze za delikatnie podług mojego zdania się wyraził, a jeśli twierdził, że w Berlinie nas uważają za naród niewdzięczny i dlatego trzeba nas rozumu nauczyć, toć sam słusznie powiada, że Berlin jest główne siedlisko zarządu hakatystycznego, zkąd cała heca przeciw Polakom i podburzanie rządu przeciw takowym wychodzi i to na czele z radzcą sprawiedliwości Wagnerem.

Jeśli tak on, jak i wszyscy mówcy twierdzili, że nam się krzywda w szkole dzieje, gdy nakazano religii uczyć się dzieciom w języku niemieckim, dla nich niezrozumiałym i że dzieci nauczą się wymawiać pojedyńczych słów jak papugi i tresowane są jak małpy, bo niczego nie rozumieją, tak że serce się ściska na to i łzy cisną się do oczu, gdy się to wszystko widzi — to mają zupełną racyą. Słuchany dziś, jako świadek inspektor szkolny wprawdzie powiedział, że tylko udziela się religii w niemieckim języku dzieciom wtedy, jeśli się przyjdzie do przekonania, że one dostatecznie nim władają, lecz wiemy w jaki nieraz sposób do takiego przekonania się przychodzi, a potem chodzi tu o zasadniczą rzecz, że wogóle religii w obcym języku udzielać się nie godzi, bo to jest sposób nie odpowiedni; sam prof. Delbrück powiedział, że uczenie języka w ten sposób, iż język ojczysty zupełnie się z planu nauki usuwa, jest eksperymentem, któremu się poddać mogą ludzie już dojrzali, dla duszy dziecięcej jest to zniszczeniem jego życiowych potrzeb i uczuć (Verwüstung seines Lebens), a pan Treskow z Radojewa, stary zasłużony obywatel i patryota niemiecki, wyraźnie publicznie oświadczył, że jest to okrucieństwem i głupotą (Grausamkeit und Thorheit), która ciężko może być ukaraną, że dzieci w ten sposób odwodzi się od religii i kościoła, że wyrodzić się w nich mogą dzikie instykta i mogą zostać socyalnymi demokratami. Jeśli tak się wyraziły osoby, które pomiędzy Niemcami uchodzą za powagi, to i nasi mówcy słusznie powiedzieć mogli, jak się Dabiński wyraził, że taka nauka jest zbrodnią przeciw naturze i sumieniu; słusznie mógł on stawić do ministrów pytanie, czy chcą, żeby nasze dzieci bez wiary zostały, a potem socyalistami i anarchistami; czy wolą nas mieć gałganami i sosyalnymi demokratami, niż dobrymi poddanymi Polakami i katolikami i słusznie wreszcie powiedział, że z tego wszystkiego możnaby przyjść do przekonania, że chce się osłabić zasady naszej wiary katolickiej.

Są to zwroty retoryczne, których bez zamiaru jakiegokolwiek podburzania do gwałtu mówca użył, jak ich już nie raz użyto z trybuny parlamentarnej i w gazetach, także niemieckich, potępiających obecny system szkolny. Jeśli mówcy, a mianowicie Konieczny powiedział, że pruski rząd stara się ukrócać coraz więcej zagwarantowane nam prawa, to mógł do takiego przekonania przyjść powołując się na traktat wiedeński, gdzie wyraźnie jest powiedziane:

> „Wasza mowa ma być we wszystkich urzędach równouprawnioną z niemiecką i każdy z Was ma mieć wolny dostęp do wszystkich urzędów, zaszczytów i godności.“

A czy tak jest? Przeciwnie, jak wiemy wszyscy.

Jeśli Konieczny dalej twierdził, że chcą nas wyplenić i na sztandarze w walce

przeciwko nam jest wypisane: „ausrotten“, to jest to wyrażenie, którego ze strony mianowicie hakatystycznej nieraz użyto, jak filozof Hartmann, Tiedemann i inni. Jeśli jak powiada K. chcą nam ziemię wykupić za nasze pieniądze, wykluczają nas od urzędów, zakazują jak np. władza wojskowa kupować u Polaków, wzywają rząd, ażeby nas niedopuszczał do submisyi rządowych — toć czy z tego wszystkiego nie mógł K. wywnioskować, że chcą nas zupełnie zniszczyć i wyplenić? Bo cóż z nas wtedy pozostanie?

Konieczny, jakeśmy widzieli, czyta pilnie różne gazety i wyczytał w nich, że publicznie w sejmie ministrowie powiedzieli: „Ihr müsst Deutche werden“. A jeśli tego żądają od nas, to muszą najprzód nas wprzód jako Polaków wyplenić (ausrotten), tak żeby po nas ani nic nie pozostało, jakto się K. wyraził.

Czytał z pewnością także K. to co hakatystyczna gazeta „Deutsche Zeitung“ swego czasu napisała, a co gazety polskie powtórzyły:

„Jeżli pruski rząd z bezwzględnym przymusem (mit rücksichtlosem Zwange) chce Polaków do ziemi przygnieść, (zu Boden schlagen), to nie tylko ma prawo mocniejszego za sobą, lecz we wszystkich do tego odpowiednich krokach kieruje się wyższemi jeszcze względami.“

Słyszał wreszcie z pewnością K., jak wysoki urzędnik, były prezes rejencyi bydgoskiej, z trybuny parlamentarnej wyraził się o Polakach: „Der Hieb ist die beste Deckung.“

A czyż wobec tego wszystkiego K. nie mógł ostatecznie przyjść do tego przekonania, że tu chodzi o zupełne wyplenienie polskiej narodowości?

Zwracam p. prokuratorowi uwagę na to, że w wyrażeniach, jak powyższe, i wielu artykułach gazet niemieckich, a mianowicie hakatystycznych, daleko prędzejby znalazł obfity materyał do wytoczenia oskarżenia o podburzanie ludności do gwałtów.

A jeśli dalej mówcy w rozgoryczeniu swem wspominali o krzywdach, jakie rząd wyrządził narodowości polskiej i religii katolickiej przez kulturkampf, przez wyrzucenie 40,000 Polaków i teraz jeszcze przez szykany pocztowe, toć są to fakta tak ogólnie znane, że rozwodzić się nad niemi chyba nie potrzebuję. Sam pan przewodniczący zaznaczył, że nie da się zaprzeczyć, iż tylu duchownych, jak mówcy twierdzą, było przez żandarmów ściganych i za kraty więzienne prowadzonych i że wygnano ludzi, którzy od dziada tutaj zamieszkiwali, wszelkie obowiązki poddanych wypełniali i niektórzy z nich, aż do stopnia feldwebla doszli!

I to się wszystko stało po wojnie francuskiej. Nie dziw więc, że Konieczny się wyraził, iż po wojnie francuskiej Niemcy wzrośli w taką dumę i zarozumiałość, że granic nie znali i że zdaje się, jakoby całe piekło przeciw nam się sprzysięgło i jakoby chciano jednym zamachem i religią i narodowość naszą zniszczyć.

Główny ustęp, w którym p. prokurator w mowie K. widzi podburzanie do gwałtów brzmi:

„Krew burzy się w żyłach, pięście się bezwiednie ściskają, jeśli się te wszystkie nasze krzywdy widzi.“

I to jest tylko retoryczny zwrot, w którym mówca wypowiada swoje osobiste uczucia, które w sposób zupełnie naturalny fizycznie na jaw wychodzą, ale nie mówi tego w zamiarze, by ludzi pobudzić tem do gwałtów, by zaraz temi pięściami bili, boć sam się wyraża, że bezwiednie pięście się ściskają, a więc bez wszelkiej wiedzy, bez zamiaru jakiegokolwiek. Tak też ludzie wszyscy rozumieli, bo przy ustępie nie było najmniejszego w zgromadzeniu nadzwyczajnego wzburzenia.

Tak też zrozumiał mówcę p. Augustini, gdyż na ustęp ten wcale nie reagował, a więc w i nim takowy żadnego niepokoju nie wywołał.

Jeśli dalej K. twierdził, że hakatyści i rząd idą dalej, gdyż chcą nas wygłodzić i żebrakami zrobić, to powiedział z pewnością na zasadzie tego, co nieraz czytał w gazetach i co niestety w pojedyńczych przypadkach było prawdą. Wiadomą ogólnie jest rzeczą, że hakatyści żądali już nieraz od rządu, aby ekonomicznie Polaków osłabiał i że pojedyńcze organa rządowe żądania te uwzględniały. Swego czasu n. p. główny organ hakatystów w numerze 7 z r. 1900 żądał wprost od rządu nieprzypuszczania Polaków do rządowych submisyi; zmarły Hansemann w publicznie ogłoszonym liście w roku 1898 żądał od rządu, ażeby raz na zawsze zerwał z zasadą równouprawnienia wobec Polaków.

Hakatystyczne gazety „Tägliche Rundschau“ i „Deutsche Zeitung“ w styczniu 1899 roku wyraźnie wystósowały do nowego prezydenta komisyi generalnej w Bydgoszczy, p. Baumbacha artykuły, by jak dotychczas w Królewcu, tak i nadal w Bydgoszczy wykluczał Polaków od dobrodziejstw prawa rentowego.

Wreszcie pan Tiedemann z Jeziorek w mowie swej, wygłoszonej w dniu 2-go grudnia 1898 roku w Lipsku, publicznie zaznaczył, iż związek hakatystów tak daleko rząd doprowadził, że ten swoją politykę wobec Polaków zupełnie zmienił i że związek przekonał rząd, iż Polaków nie trzeba jako równouprawnionych z Niemcami traktować i że rząd powinien ekonomicznie przeciw Polakom występować; jeśli Polaków osłabi się ekonomicznie (mürbe machen) to i politycznie wreszcie raz na zawsze się z nimi zakończy.

Czytając i słysząc to wszystko i mając dowody na to, któremi wysokiemu trybunałowi na żądanie każdej chwili służyć mogę, że rząd rzeczywiście podług recepty hakatystów przeciw nam nieraz postępuje, że więc podburzaniu tego pobocznego rządu nieraz ulega, toć trzeba w ostatecznym razie przyjść do tego przekonania, iż rząd rzeczywiście z hakatystami nieraz idzie ręka w rękę, mianowicie, gdy wszyscy wiemy, że tak wysocy dostojnicy państwowi jak nieboszczyk Bismarck (der selige Bismarck) i pozasłużbowy Miquel całą duszą i sercem hakatystom sprzyjali. Nie dziwić się więc, że w odnośnym ustępie król. rząd i hakatystów postawił na jednej linii.

Inkryminowanem jest dalej w mowie Koniecznego twierdzenie, że jest pewna kategorya nauczycieli, która wychodzi na to, by za naukę języka niemieckiego pobierać jak największe gratyfikacye. Czyż fakt ten jest tak nieznanym polskiej ludności, by twierdzenie takowego mogło podburzyć ludność tę do gwałtów przeciw nauczycielom? Toć przecież jest fakt ogólnie znany i sam pan inspektor szkolny musiał przyznać, że takie gratyfikacye rząd daje; naturalną prawie więc jest rzeczą, że niejeden z nauczycieli przy swoich skromnych zresztą dochodach, nieraz z pominięciem swego sumienia, łakomi się na tę gratyfikacyą i „wpałkuje“ dzieciom odpowiednią ilość słów niemieckich, by potem przy egzaminie publicznym pochwalić się ich postępami w języku niemieckim.

Pan inspektor powiada nam, że przecież egzamina publiczne pokazują, iż dzieci władają dostatecznie językiem niemieckim. Tego *nam* pan inspektor nie powiada — bo wiemy, jak się to dzieje. Dwa tygodnie przed egzaminem zaczyna się tresura, podniecana nieraz odpowiednią ilością łap — i potem egzamin się świetnie udał — nauczyciel odbiera gratyfikacyą — p. inspektor przekonał się, że dzieci dostatecznie władają językiem niemieckim, — idzie „berycht“ do rejencyi i ta zaprowadza naukę religii w języku niemieckim. Tak lekko traktuje się u nas kwestya sumienia i uczuć religijnych.

Wszakżeż, gdzie im tego potrzeba, to jest w celach agitacyjnych, wyborczych i konserwatyści, główni twórcy praw przeciw Polakom, są co do języka ojczystego innego zdania. Toć w tym roku wydali w okręgu wyborczym kłajpedzkim, by tylko Litwinów zyskać dla siebie, odezwę następującej treści:

„Litwini chcą swą mowę zatrzymać, ponieważ są przywiązani do mowy i zwyczajów swych ojców. Toć przecież ich mowa ojczysta, w której wzrośli. Litwini są ściśle religijni i prowadzą wzorowe życie rodzinne, a cnoty te chcą sobie zachować na wieki, zachować je tylko jednak wtedy mogą, jeżeli dziecko wzrośnie, kształcąc się w mowie matki, od której uczy się mówić i modlić. My konserwatywni chcemy Litwinom ich mowę ojczystą zachować, która z pewnością najwięcej ich wiąże do ziemi, na której żyją.“

Wspaniałe słowa! Czemuż ich konserwatywni nie stosują do Polaków?

Ale niesumiennem nadużyciem jest używanie podobnych szlachetnych haseł w celach li tylko agitacyjnych.

Przy tej sposobności zaznaczam, że kłamstwem jest po prostu twierdzenie, że nie chcemy, by dzieci nasze uczyły się po niemiecku. Tak jak Dabiński, tak i wszyscy tego chcemy, — ale potępiamy metodę uczenia tego języka i stanowczo protestujemy przeciw temu, by dla języka niemieckiego zupełnie naukę języka polskiego ze szkół rugowano, — a przedewszystkiem, by zasad religii uczono dzieci w języku dla nich obcym, bo to rzecz sumienia, a sumienia w celach germanizacyjnych nadużywać się nie godzi.

Zresztą co do gratyfikacyi nauczycieli w „Preussische Lehrerzeitung,“ na co jeszcze dowód stawię, przed nie tak dawnym czasem znajdował się artykuł, w którym fachowy pedagog stanowczo udzielanie gratyfikacyi za postępy w języku niemieckim potępił i wprost niemoralnemi nazwał.

Dlaczego nie ma osobnych gratyfikacyi za postępy w historyi, geografii, języku francuskim lub angielskim! Widoczna więc tendencya germanizacyjna. Wprost korupcyą są te gratyfikacye. I ten zarzut Koniecznego zupełnie jest uzasadnionym.

A teraz przychodzimy do ustępu, przy którym p. Augustini wiec rozwiązał. Konieczny twierdził, że hakatyści wymyślili jakieś rewolucyjne związki między młodzieżą gimnazyalną, że wskutek tego stawiono większą liczbę gimnazyastów przed sąd i nie dopuszczono ich do egzaminów.

Że przy tym właśnie ustępie p. Augustini podług swego twierdzenia wiec rozwiązał, to się mocno dziwię! Toć są to fakta z najnowszych czasów — toć właśnie o to toczyć się będzie proces w Toruniu — toć niezaprzeczy nikt, że aż do ukończenia śledztwa kilku gimnazyastów nie przypuszczono do egzaminu abituryenckiego! Gdzież twierdzenie tego ogólnie znanego faktu jest zdolnem pobudzić kogo do gwałtów! Dlatego sądzę, że p. Augustini nie wskutek tego twierdzenia wiec rozwiązał, lecz wskutek tego, że w tej chwili ktoś z obecnych zakrzyknął „zbrodniarze!“

Jestem pewien, że gdyby tego okrzyku nie było, toby p. Augustini wieca nie był rozwiązał. A więc nie mowa Koniecznego dała powód do rozwiązania wieca, lecz ten niespodziewany okrzyk. A za ten okrzyk nikogo nie można zrobić odpowiedzialnym! Mógł p. Augustini spokojnie mimo tego okrzyku pozwolić mówcy dalej mówić — przewodniczący byłby z pewnością ten okrzyk zganił, o spokój poprosił i wiec byłby się jak najspokojniej w świecie zakończył.



Mecenas Adam Woliński.

Tak więc sądzę, że i z inkryminowanych zwrotów mów nie można wydedukować, iż mówcy mieli chęć podburzania ludności do gwałtów. Słowo padło nie jedno ostre — ale to rzecz naturalna przy takich zgromadzeniach. Fakta, które mówcy przytaczali, nie były wcale zdolne ludzi do gwałtów pobudzić — bo są one już dawno publiczności polskiej znane. Groźb żadnych nie było, tylko wołanie o sprawiedliwość; podawanie środków obrony na drodze legalnej.

Dowodów na to, że ludność wskutek mów okazywała jakie nadzwyczajne wzburzenie, niema. Przeciwnie, żandarm Heyse zeznał, że ludzie byli spokojni i po rozwiązaniu wieca spokojnie się rozchodzili. Że padały potem na ulicy tu i owdzie słowa niezadowolenia — to rzecz naturalna — ale niezadowolenie to nie zostało wywołane mowami, lecz niespodzianem rozwiązaniem wieca. A że tam jakiś Sowiński p. Augustiniego, gdy w towarzystwie burmistrza szedł na kolej, po drodze molestował, to tego nikt nie pochwala — ale i tego nie trzeba i nie można uważać za skutek mów, boć Sowiński wcale na wiecu nie był, nie mógł więc być podburzonym. A zresztą jest to człowiek znany z gwałtowności i licznie już za to karany, on i bez podburzania i przy innych okolicznościach, nie tylko przy wiecu, gdy widzi, że się tam coś na ulicy dzieje, każdej chwili gotów się wmięszać i burdę zrobić, mianowicie, gdy ma dość mocno w czubie, jak wtedy.

Pan prokurator powiada, że możliwość wywołania jakich gwałtów przez podobne mowy ze względu na łatwo rozpalający się charakter i bardzo żywe uczucie narodowe polskiej ludności jest bardzo bliską, czego powstania dowiodły. Na to mogę przytoczyć to, co już konieczne: „musielibyśmy być głupimi chyba, gdybyśmy przeciw takiej wielkiej sile wojskowej Niemców, mieli się do gwałtów porywać!“ I racya — uczucie narodowe Polaków, dzięki prześladowaniu, nadzwyczaj jest ożywione, ale nie do gwałtów, tylko do pracy i obrony na każdem polu. Powstania niczego nie dowodzą — są to rzeczy już dawne — a przyczyny powstań leżały w czem innem, nie spowodowane one zostały kilku może mowami — zresztą rok 1848 i w Niemczech był rokiem rozruchów, nie tylko u Polaków, a powstanie w roku 1863 nie było specyalnie w Prusach.

Pod tym względem powołać się mogę na bardzo gruntownego znawcę stosunków u nas, p. radzcę sprawiedliwości dra Lewinskiego w Poznaniu, który wspólnie przez wszystkich Niemców, bez różnicy zapatrywań politycznych, postawiony był na kandydata w roku 1899 do sejmu. Dnia 10 października 1899 powiedział na zebraniu wyborczem w Poznaniu:

> „Jeśli sobie stawimy pytanie, czy mamy powód do przypuszczenia, że Polacy dążą do gwałtownego oderwania się od państwa, to na podstawie swej 27-letniej działalności w prowincyi tutejszej twierdzę, że *nie!* Ich usiłowania są tylko zwrócone ku temu, by zachować swój język, swą odrębność narodową i by się ekonomicznie wzmagać — a z tego im zarzutu robić nie można; to samo czynią Niemcy w Czechach i w powincyach nadbałtyckich, państwa rosyjskiego. Naród, któryby tego nie czynił, nie wartby był naboju!“

Tak mówił mąż, mający zaufanie u wszystkich Niemców w Poznaniu, na podstawie gruntownej znajomości tutejszych stosunków. Jeśli wobec tego ministrowie jak Bosse, Miquel, Rheinbaben opowiadają w sejmie bajki o rewolucyjnych dążnościach narodu polskiego, to orzeczenie ich wobec zdania pana dra Lewinskiego nie ma najmniejszego znaczenia. P. dr. Lewinski ma 27-letnie

doświadczenie za sobą — ale ci panowie ministrowie znają tutejsze stosunki chyba z owych „płaconych“ podróży informacyjnych do nas. No — jeśli pan Miquel z p. Rheinbabenem lub Bossem przyjedzie do nas na 24 godzin, z których większa część jeszcze idzie na śniadania, obiadki, kolacyjki, przedstawienia władz, spacery, tak, że i na drzemkę bodaj im czasu wystarczy, toć pomimo całego szacunku dla nadzwyczajnych zdolności w oryentowaniu się trudno przypuścić, żeby ci panowie mogli się przekonać o naszych stosunkach; jedyny rezultat tej podróży: konferencya krótka z radzcami rejencyjnymi — i na tem koniec. A co oni im powiedzą — to my już dawno wiemy! Niech lepiej pan minister się nie trudzi — niech lepiej każe sobie „berycht“ napisać — to z niego tego się samego dowie, co na owych konferencyach, a przynajmniej się podróżą nie umęczy! No — a te „berychty“, to wolę o nich nie mówić!

Ostateczną konkluzyą pana prokuratora jest: mowy inkryminowane były zdolne pobudzić ludność polską przeciw niemieckiej do gwałtów, ponieważ mogą polskiej ludności odebrać (rauben) to uspokajające przeświadczenie, że w swych uprawnionych interesach znajduje dostateczną opiekę u rządu.

Na to oświadczam uroczyście i kategorycznie, że owego przeświadczenia u ludności polskiej dawno już nie ma, że wszyscy Polacy pod panowaniem pruskiem bez różnicy stanu, powołania i wykształcenia, mają przeciwnie to głębokie przeświadczenie, że od rządu nie doznają dostatecznej opieki w swych uprawnionych interesach.

Stoję w stosunkach z wszystkiemi warstwami społeczeństwa polskiego, żywo zajmuję się potrzebami tego społeczeństwa — i zaręczyć mogę sumiennie, że tak jest, jak twierdzę.

Jeśli więc w społeczeństwie polskiem tego przeświadczenia nie ma, to nie może mu być odebranem — gdyż odebrać można tylko to, co jest! A więc — dedukcya prokuratora opiera się na fałszywej, a raczej na żadnej, bo wcale nie egzystującej podstawie — wskutek czego oskarżenie z § 130 kod. karn. zupełnie upada i na tem tę część mych wywodów kończę.

Oskarżenie zarzuca dalej wszystkim mówcom, że głosili zmyślone fakta, wiedząc, że są zmyślone, by przez to instytucye państwowe lub rozporządzenia władz podać w pogardę. Co do tego punktu oskarżenia mogę w głównych zarysach powołać się na to, co już powiedziałem.

Do zastósowania tego paragrafu, trzeba konstatować, że owe fakta rzeczywiście były zmyślone lub grubo przesadzone, że oskarżeni o tem dobrze wiedzieli, a więc contra bonam fidem je twierdzili i że to czynili z wyraźnym zamiarem zohydzenia urządzeń państwowych lub rozporządzeń władz.

Co do wszystkich oskarżonych twierdzę stanowczo, że fakta, które głosili, były prawdziwe, że głosili je nie w zamiarze zohydzenia, lecz w zamiarze przedstawienia krzywd i proponowania legalnych środków obrony, że wreszcie choćby tu i owdzie przyjęto przesadę, to takowa, jest tak małą, iż przypuścić się musi, że conajmniej oskarżeni o prawdziwości tego, co twierdzili, zupełnie byli przeświadczeni. Pod tym względem powołać się tylko mogę na to, co już o poprzednich twierdzeniach wyżej powiedziałem.

Kolendowicz miał się dopuścić przewinienia przeciw § 131, twierdząc, że Polacy przez władzę umyślnie nierówno z Niemcami są traktowani — wykazałem już, że Kolendowicz mógł był do tego przekonania przyjść razem z tylu innymi — dalej, że Bismarck wychował ludzi do gwałtów przeciw cesarzewi i że tych ludzi potem za waryatów ogłoszono. Aleć Bismarck przecież nie jest żadnem „urządzeniem państwowem“, a wychowanie ludzi przezeń, czyli wpływ, jaki na ludzi wywierał, nie jest żadnem rozporządzeniem władzy, a więc już z tego samego powodu jurystycznego o zastósowaniu § 131 na to twierdzenie mowy być nie może.

Dabiński miał się stać winnym przestępstwa podług tego § twierdząc, że wszystkie rozporządzenia władz, tyczące się naszej prowincyi, mają na celu osłabienie naszej wiary i że ministerstwo woli nas jako gałganów i socyalnych demokratów widzieć, niż jako Polaków i katolików.

Prawo wymaga, że odnośne twierdzenie musi się tyczyć konkretnego faktu, a nie wystarcza taka ogólna krytyka, jak powyżej, co do całej polityki wobec nas. A zresztą co do tych twierdzeń mógł był D. kompletnie przekonanym być o prawdziwości tego, co mówi, jak już wyżej wykazałem.

Konieczny wreszcie miał wykroczyć przeciw temu § twierdząc, że państwo chce Polaków urzędów pozbawiać, narodowość polską wyplenić, że władze rozmyślnie gimnazyastów oskarżają o należenie do tajnych związków i dlatego ich do egzaminów nie przypuszczają, że związek hakatystyczny ma na celu Polaków wygłodzić i do żebractwa doprowadzić.

Dziwię się, że prokurator także i ustęp mowy, tyczący się hakatystów, tutaj przytoczył. Toć związek hakatystów nie jest, Bogu dzięki, jeszcze żadną instytucyą państwową, choć niestety, cieszy się wielką opieką władz. Jest on zupełnie prywatnym związkiem, założonym przez ludzi, którzy sądzili, że rząd za mało jeszcze dba o popieranie niemieckości w prowincyi naszej — co prawda podejrzenie, które rząd mocno kompromituje.

Sprawa między hakatystami a Polakami jest to sprawa prywatna — i Polacy dadzą sobie z tą klasą podżegaczy z powołania (gewerbsmaessige Hetzer) sami radę, bez pomocy rządu. Ale tyle mogą od rządu wymagać, by rząd i hakatystom pomocy nie dawał, o którą ciągle wołają, bo widocznie bez pomocy tej nic zrobić nie mogą — jest to przeciwne konstytucyi i wszelkim zasadom sprawiedliwości i równouprawnienia, jeśli rząd uwzględnia nie już prośby, ale po prostu żądania hakatystów o ukrócenie nam praw na polu politycznem i ekonomicznem. Niech się rząd oprze na prawdziwych patryotach niemieckich, jak p. Treskowie i innych, a nie słucha szczwania tylu zjadaczy chleba, którym prowincya nasza ma służyć jako pole do zrobienia karyery, czy to urzędowej, czy finansowej.

Co do innych twierdzeń Koniecznego, tyczących się tylko rządu, to i tutaj powtórzyć mogę to, co już kilkakrotnie powiedziałem, że i Konieczny na podstawie tego, co czytał, co sam słyszał i widział, mógł nabrać przekonania o zupełnej prawdziwości tego, co mówił, a co też, abstrahując od przesady w wyrażeniach niektórych i frazesów retorycznych, w ogólności jest prawdą!

W najgorszym razie, choćby prześwietny trybunał przyjął, że jedno lub drugie twierdzenie zdolne jest zohydzić jakie urządzenie państwowe, lub które z rozporządzeń władz, to w każdym razie o tem, by oskarżeni ten zamiar mieli, absolutnie mowy być nie może. Sąd rzeszy wyraźnie wymaga konstatowania takowego zamiaru i powiada, że chęć sama i samowiedza (Vorsatz und Bewusstsein) o tem, że podobne twierdzenie może być zohydzającem, nie wystarcza.

Tak więc wnoszę o zupełne uwolnienie wymienionych trzech mówców od oskarżenia z §§ 130 i 131 kod. karn.

Sądzę, że wysoki trybunał, do wniosku tego się przychyli i nie przyjdzie więc wcale w położenie zastanawiania się, jakie kary są tutaj na miejscu. Z urzędu obrońcy jednak, by swej powinności w każdym kierunku zadość uczynić, muszę i co do wysokości kar, przez pana prokuratora wniesionych, kilka słów powiedzieć. Za przewinienia, w mowie będące, przewiduje kodeks karny w pierwszej linii kary pieniężne, a dopiero, gdyby chodziło o bardzo ciężki przypadek, kary więzienne. Nie mogę utaić swego zadziwienia, jak pan

prokurator mógł tutaj wogóle uznać za stósowne wnieść zaraz o kary więzienne i to tak wysokie. Jak to, więc ci ludzie, którzy bronili swych najidealniejszych dóbr i najświętszych praw, jakie człowiek mieć może, wiary, mowy ojczystej, wolności obywatelskiej — dlatego, że podług zdania prokuratora, powinni byli przypuszczać, że przekraczają granice paragrafami kodeksu karnego nakreślone, mają iść na długie kaźnie więzienne?! Czy pan prokurator sądzi, że takiemi wnioskami robi jakąkolwiek przysługę państwu i rządowi? Czy nie widzi, że przeciwnie, nie tylko w oskarżonych, ale w całej masie ludności polskiej podobna kara wywołałaby rozgoryczenie najwyższe i wzburzenie umysłów?

Spokojnych obywateli państwa w ten sposób rządowi i państwu się nie zjednuje! Osób nieposzlakowanych, ogólnym szacunkiem swych współziomków otoczonych, spokojnych, obywateli, tworzących podług mego twierdzenia najlepszy materyał do fundamentów porządku i ładu państwowego — za może jedno lub drugie nierozważne słowo do więzienia się nie wtrąca! Tego naród nie zrozumie — to jest przeciwne pojęciu narodu o sprawiedliwości.

A ponieważ nie straciłem nadziei jeszcze, że u nas są sędziowie sprawiedliwi, dlatego nie wątpię na chwilę, że wysoki trybunał uwolni oskarżonych zupełnie, ewentualnie, gdyby u jednego lub drugiego z nich przyjął, że w zapale mówców przekroczyli granice dozwolone, zawyrokuje na niską karę pieniężną. Z tem przeświadczeniem z całym spokojem składam los moich klientów w ręce wysokiego trybunału.

Chodzi jeszcze o małe przewinienie, o które oskarżeni są redaktor Hojnacki, Buszewicz i ks. proboszcz Jackowski, to jest, że rozdzielali na wiecu broszury o wiecu witkowskim; ma to być karygodne podług § 10 i 41 dawnego pruskiego prawa prasowego z dnia 12 maja 1851 roku. Otóż podług mego zdania paragrafy te przez prawo prasowe rzeszy niemieckiej z dnia 7 maja 1874 r. zostały zniesione. Są wprawdzie pod tym względem wątpliwości, ale w ostatnim czasie i kamergerycht wydał wyrok w tej samej myśli.

W § 30 ust. 2 prawa rzeszy jest tylko mowa o tem, że przepisy krajowe co do ogłoszeń, plakatów i odezw zatrzymują swą moc obowiązującą, ale nie co do innych druków — a tu nie chodzi o ogłoszenia i t. d. Takie więc broszury bez zezwolenia policyjnego rozdzielać publicznie wolno.

I pod tym względem więc wnoszę o zupełne uwolnienie oskarżonych.

* * *

Na wszelkie ewentualności, gdyby prześwietny trybunał nie miał uwolnić oskarżonych 3 mówców, stawiam następujący wniosek odwodowy:

1) Co do tego, że w Berlinie ministrowie Miquel i Rheibaben z trybuny sejmowej nazwali Polaków niewdzięcznym narodem, których trzeba rozumu nauczyć (twierdzenie Kolendowicza), powołuję się na świadectwo tychże ministrów, jako też na świadectwo prezesa Koła polskiego posła Szumana, dalej posłów dr. Dziembowskiego i szambelana Cegielskiego.

Ci sami posłowie mogą zeznać, że z trybuny sejmowej posłowie Niemcy z centrum i z partyi wolnomyślnej w ostrych słowach obecny system szkolny potępiali i również się o nim w ten sposób wyrażali, jak oskarżeni mówcy, tj., że dzieci uczą się jak papugi i tresuje się je jak małpy, tak, że wymawiają pojedyńcze słowa, a ich nie rozumieją i że udzielanie religii dzieciom polskim w niemieckim języku jest gwałceniem sumienia i torturą dla tychże dzieci.

2) Co do twierdzenia, że jest pewna kategorya nauczycieli, która przy uczeniu języka niemieckiego wychodzi tylko na gratyfikacye, powołuję się na redaktora „Preuss. Allg. Lehrerztg.“, który poświadczy, że w tem piśmie był umieszczony artykuł, o którym mówiłem.

3) Powołuję się na świadków pod nr. 1 wymienionych, że wspomniani ministrowie nieraz z trybuny sejmowej do Polaków powiedzieli: „Ihr müsst Deutsche werden“.

4) Co do twierdzenia, że rząd popiera hakatystów, to już w swem plaidoyer przytoczyłem na to dowody i gdyby p. prokurator prawdziwości ich nie przyznał, to proszę o przesłuchanie p. Tiedemanna z Jeziorek, p. Baumbacha, prezydenta generalnej komisyi w Bydgoszczy i redaktorów hakatystycznych gazet „Ostmark“, „Tägliche Rundschau“ i „Deutsche Zeitung.“

5) Co do twierdzenia mojego, że Polacy dawno już stracili przeświadczenie, iż w swych uprawnionych interesach doznają dostatecznej opieki od rządu, mianowicie co do mowy ojczystej i nauki religii i że tego zdania są wszyscy Polacy bez wyjątku bez różnicy stanu, zawodu i wykształcenia, powołuję się na powyżej wymienionych posłów, dalej na posła do parlamentu, mojego kolegę Chrzanowskiego z Poznania, mistrza stolarskiego p. M. Andrzejewskiego z Poznania, mającego właśnie styczność z klasą średnią i najniższą i wszystkich redaktorów pism polskich w Poznaniu, dalej na p. Treskowa z Radojewa, p. dr. Lewińskiego i p. Wagnera, naczelnego redaktora „Pos. Neueste Nachr“, którzy to potwierdzą jako też i to, że i bardzo wielka część uczciwych i sprawiedliwych Niemców, niezależnych naturalnie od rządu, jest tego samego zdania.

W razie więc danym wnoszę o odroczenie sprawy i zapozwanie tych wszystkich świadków, chociaż osobiście jestem tego zdania, że tego nie potrzeba, gdyż są to fakta ogólnie znane.

Pierwszy prokurator wnosi o odrzucenie tych wniosków, gdyż nic niema przeciwko temu, by fakta te za prawdziwe przyjęto, ponieważ i w takim razie oskarżeni formą swych mów stali się winnymi przestępstw przeciw § 130 i 131.

P. mecenas Woliński dziękuje p. prokuratorowi, że mu ułatwia obronę, boć, jeżeli sąd przyjmie bez wszystkiego prawdziwość tych faktów, to o winie oskarżonych absolutnie mowy być nie może, gdyż same te fakta kompletnie usprawiedliwiają to co oskarżeni twierdzili. *„D. P.“*

Życie.

Blada dziewczyno! na żywota drogę
Dobry talizman chcesz dostać odemnie:
Szukam w mych skarbach — lecz znaleść nie mogę
Szukam w mych skarbach — daremnie! daremnie!
Nie wiem ja, z czego są na serca zbroje:
Na wskroś przeszyte wszystkie te, co moje!
Więc czarne kosy zgarniając ci z czoła,
Patrzę się smutna łzawemi oczyma;
Módl się ty, dziecko, do tego anioła,
Co w rękach swoich szalę życia trzyma.
On tylko jeden obdarować może
W pokój bez troski — chłodne trumny łoże!
Zadrżałaś — gorzkiem wyrzutu spojrzeniem
Wskazujesz słońce na niebios błękicie...
Wiem — słońce piękne — gorącym promieniem
Pali nam czoła... słuchaj! to jest życie:
Znój od promiennych blasków — długa praca,
A porachunek w Niebie się rozpłaca.
Idźże więc, dziecię, tym gościńcem świata,
Jak szli przed tobą, jak pójdą po tobie;
Czasem, jak śmiała ptaszyna skrzydlata,
Będziesz się rwała ku Niebu — na grobie
Czasem pod krzyżem przylegniesz zraniona,
A serce będzie drżało ci wśród łona.
I może przyjdzie... przyjdzie, że to łoże,
Co cię dziś straszy — ta trumna tęsknotą,
Pociągać zacznie, aż zawołasz Boże!
Dość już patrzałam na dnia jasność złotą.
Jestem zmęczona bardzo... niech się schylę

Wtę ustroń chłodną — na spoczynku chwilę!
Lecz nie — żyć musisz: musisz aż do końca
Dział twój odrobić na tej Bożej niwie;
Jak robotnica przed zachodem słońca
Nie może sierpa położyć leniwie,
Tak ty nie powiesz serca twego biciu:
Dłużej żyć nie chcę — bo ciężko mi w życiu!
I będziesz żyła, choćby ci z kolei
Zginęło wszystko, coś tu miała drogiem;
Chociażby anioł wszystkich twych nadziei
Wzleciał do Boga — a gdy przed tym Bogiem
Klękniesz się modlić, za modlitwy słowa
Padała tylko drżąca łza perłowa.
Bo dziecko! życie jest to obowiązek:
Spełnić go trzeba — wybierać nie można!
Żaliż w pękowiu zielonych gałązek
Lilja się będzie pytała ostrożna:
Czy chłodne wiatry nie wieją na świecie,
A burza łamie nawet białe kwiecie?
Nie, — ona razem wspaniała i cicha
Kwiat swój rozwinie w poranek wiosenny;
Bo z czystej głębi śnieżnego kielicha
Musi woń wydać — w jasności promiennej
Musi się skąpać — pić światła blask złoty
I kochać słońce i drżeć od tęsknoty.
Tak ty, najstarsza siostro białych kwiatów,
Kochaj i tęsknij — cierp i walcz z cierpieniem:
Z starej twej ziemi w bezmiar Bożych światów
Rozumnej myśli wystrzelaj promieniem.
Żyj — w życia twego pełności serdecznej,
A górą niech się pełni sąd odwieczny.

Marya Ilnicka.



Album współczesnych pisarzy polskich.

Zebrał i objaśnił Stefan Demby.

(Ciąg dalszy. — Patrz nr. 19-y.)



Ks. Władysław Michał Dębicki.

Urodził się w roku 1853 w Smardzewie pod Zgierzem. Nauki początkowe pobierał w b. Progimnazyum w Łęczycy, potem w Gimnazyum Piotrkowskiem, które ukończywszy, wstąpił do Uniwersytetu Warszawskiego na wydział historyczno-filologiczny. W roku 1876 ukończył go ze stopniem kandydata nauk historyczno-filologicznych i medalem złotym za rozprawę konkursową o Filochorze. Wkrótce został nauczycielem języków starożytnych w Gimnazyum III-em w Warszawie. W roku 1885 podał się do dymisyi i wstąpił do Seminaryum Duchownego w Warszawie. Po dwóch latach został wyświęcony na księdza. Będąc studentem uniwersytetu, zaczął pracować na niwie literackiej, pisując artykuły do „Kroniki Rodzinnej,“ „Kuryera Warszawskiego,“ „Przeglądu Katolickiego,“ „Kłosów,“ „Tygodnika Ilustrowanego“. Wydał oddzielnie: O granicach poznania przyrody (1874); O zasadniczych różnicach psychicznych między człowiekiem a zwierzęciem (1876, wyd. 2 — 1887); Myśli i słowo, logika i gramatyka (1876, wyd. 2 — 1887); Biesiada u milionera rzymskiego za czasów Nerona, według Petronjusza Arbitra (1879); Nieśmiertelność człowieka, jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa (1883, wyd. 2 — 1887); Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki (1887, wyd. 2 — 1886); Postęp, szczęście i przewroty społeczne (1885, wyd. 2 — 1886); Wielkie bankructwo umysłowe; Przyszłość Chin (1898).



Samuel Dickstein.

Urodził się dnia 12 maja 1851 roku w Warszawie, gdzie też i początkowe nauki pobierał, uczęszczając do gimnazyum. W roku 1866 wstąpił na wydział matematyczno-fizyczny byłej Szkoły Głównej Warszawskiej. Jednocześnie z przemianą tej uczelni na uniwersytet przeszedł do niego i ukończył go w roku 1870 ze stopniem kandydata nauk matematyczno-fizycznych. Od roku 1872 do 1882 był nauczycielem matematyki w gimnazyach i Szkole Handlowej. W roku 1876 otrzymał stopień naukowy magistra matematyki; od roku 1878 do 1888 był dyrektorem prywatnej szkoły realnej. W roku 1882 zaczął wydawać „Rocznik Pedagogiczny,“ a w 1888 z Władysławem i Edwardem Natansonami i Władysławem Gosiewskim „Prace Matematyczno-Fizyczne.“ W roku 1889 wstąpił do komitetu redakcyjnego „Wszechświata,“ a 1893 do komitetu redakcyjnego „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“. W roku 1890 został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, a w 1893 Akademii Umiejętności w Krakowie. Do ważniejszych prac jego należą: Ueber Theilbarkeit der Zahlen; Ueber Winkelmessung; O niektórych własnościach funkcyi alef; O twierdzeniu Crocchiego; Pojęcia i metody matematyki; Uwagi o metodzie teleologicznej; Geometrya; Matematyka i rzeczywistość. W roku 1898 wyszła nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie obszerna praca Dicksteina p. t. Życie i dzieła Wrońskiego. Z przekładów jego na uwagę zasługują: Fizyka — Reisa; Materya i ruch — Maxwella; Rachunek różniczkowy i całkowy — Pascala i inne.



Jarogniew Drwęski (pseudon: Jarogniew.)

Ur. się dnia 6. grudnia roku 1875 w majątku rodziców, w Glinnie, w powiecie wągrowieckim. Nauki pobierał w Poznaniu w gimnazyum Maryi Magdaleny. Poczem odbywał studya prawnicze na uniwersytecie w Berlinie. Po złożeniu egzaminu państwowego wstąpił w r. 1898 do służby sądowej. —

Karyerę literacką rozpoczął rychło. W r. 1894 i 1895 ukazywały się w „Przeglądzie Poznańskim“ nowele jego: „Lampiarz Miotełko“, „Boża Męka“ oraz studyum psychologiczne „Chora miłość“; — następnie artykuły literackie i ulotne wiersze. — W r. 1898 w teatrze Poznańskim wystawiono sztukę jego: „Reni“ i następnego roku fantazyą dramatyczną: „Romantyczność“. — W „Dzienniku Poznańskim“ ogłosił dłuższe studyum o Henryku Ibsenie.



Seweryna Duchińska.

Urodziła się we wsi Korzajce, pomiędzy Łowiczem a Sochaczewem, w r. 1816 z ojca Józefa Żochowskiego i matki Maryanny z Trzcińskich. Nauki początkowe pobierała w domu rodzicielskim u państwa Zabłockich, serdecznych przyjaciół rodziców, wkrótce jednak oddaną została na pierwszą w owe czasy pensyą pani Wilczyńskiej, gdzie przebywała do roku 1830. W półtora roku po opuszczeniu pensyi wyszła za mąż za Pruszaka. W roku 1847 zaczęła brać lekcye historyi literatury polskiej od Wł. K.

Wójcickiego, zapoznała się z najwybitniejszymi pisarzami ówczesnymi a wkrótce sama próbowała sił swoich na polu literackiem. Owdowiawszy, wyszła powtórnie za mąż za Franciszka Duchińskiego, który rozwinął jej działalność literacką. Po śmierci męża od roku 1893 stale mieszka w Paryżu, pisując korespondencye do „Biblioteki Warszawskiej“. Z wielu jej prac literackich wyróżnić należy: Powieści i gawędy (1854); Rozrywki dla młodocianego wieku w 15 tomach (1856 — 1863); Obrazki dramatyczne (1857); Dwie gwiazdy (1861); Szkółka domowa (1868); Dzbanek rozbity, poemacik (1874); Życiorys Antoniego Oleszczyńskiego (1879); Życiorys Bohdana Zaleskiego (1886); Wianek na cześć króla Jana III (1889); Królowie polscy, poemaciki (1893); Pieśni z tułactwa (4 serye); Antologia francuska (1899) i inne.

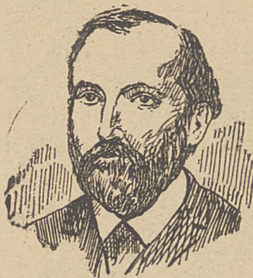


Karol Dunin.

Urodził się dnia 28 lipca 1850 roku w Skromowie, w guberni Kieleckiej z ojca Bolesława i matki Maryi z Wolskich. Nauki gimnazyalne pobierał w Pinczowie, a uniwersyteckie w Warszawie, gdzie w roku 1877 uzyskał stopień magistra prawa cywilnego. Wydał osobno: Prawo własności, rzecz ekonomiczno-prawna (1879); Dawne Mazowieckie prawo (1880). Z artykułów obszerniejszych, drukowanych w „Wieńcu“, „Prawdzie“, „Niwie“, „Opiekunie Domowym“, „Ateneum“, „Tygodniku Powszechnym“, „Wędrowcu“, „Gazecie sądowej“, „Encyklopedyi Rolniczej“, „Ognisku“ na wyróżnienie zasługują: Narodowość i prawo publiczne (1879), Nowy zwrot w nauce prawa cywilnego (1883); O gminie; Indywidualizm w życiu społecznem; O istocie hipoteki prawnej (1898) i wiele innych. Z odczytów, wygłoszonych w Warszawie wymienić należy: Fragment z dziejów myśli ludzkiej; O prawnej obronie honoru; O ślubach cywilnych.

Benedykt Dybowski.

Urodził się w Adamczynie, w guberni Mińskiej, dnia 29 kwietnia 1835 roku. Nauki gimnazyalne ukończył w Mińsku w roku 1853, a następnie wstąpił na wydział lekarski uniwersytetu Jurjewskiego. W roku 1857 przeniósł się do uniwersytetu wrocławskiego, a po roku do berlińskiego, który ukończył w roku 1860 ze stopniem doktora medycyny po obronie rozprawy „Commentationis de parthenogenesi specimen“. W roku 1862 otrzymał w uniwersytecie Jurjewskim potwierdzenie dyplomu po przedstawieniu rozprawy „Versuch einer Monographie der Cyprinoiden Livlands“. Tegoż roku powołany został na profesora adjunkta zoologii i paleontologii w byłej Szkole Głównej Warszawskiej. Od roku



Benedykt Dybowski.

1866 do 1877 czynił poszukiwania zoologiczne w Darasuniu, w Kułtuku, na wybrzeżach Japońskich, w okolicach Akszy nad Ononem, w starym Curuchajtuju nad Argunią, nad ujściem Ussuri do Amuru i w Mandżuryi. W r. 1877 powrócił do kraju, aby wkrótce znów udać się do Petropawłowska na Kamczatce. Bawił tam od r. 1878 do 1882. W roku 1882 powołany został na profesora zoologii do uniwersytetu lwowskiego i na tem stanowisku do chwili obecnej pozostaje. Wydał bardzo wiele prac naukowych z dziedziny zoogeografii, drukowanych w pismach specyalnych polskich, niemieckich i rosyjskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

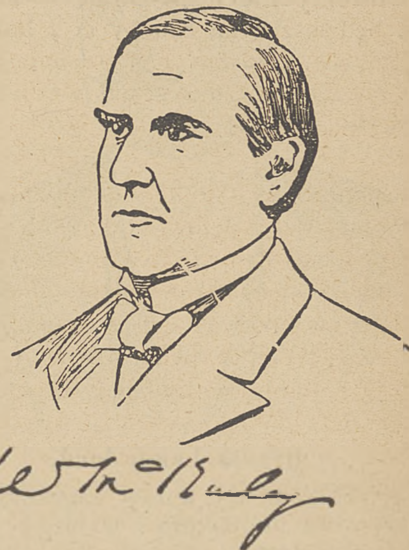


Z chwili.

Bliższe szczegóły o zamachu na Williama Mac Kinley'a znajdzie Czytelnik w artykule p. t. „Z tygodnia“. Na tem więc miejscu zamieszczamy tylko najgłówniejsze dane z życia i działalności prezydenta:

William Mac Kinley urodził się w roku 1844 w stanie Ohio, miejscowości Nilen. Siedemnastoletni młodzieniec wstąpił w roku 1861 jako ochotnik do armii i wziął udział w wojnie domowej. Po ukończeniu wojny, w której dosłużył się stopnia majora, słuchał prawa i został adwokatem. W roku 1877 wstąpił do parlamentu, jako członek stronnictwa republikańskiego i zwrócił na siebie powszechną uwagę, jako energiczny zwolennik ceł ochronnych. Projekt jego, ograniczający przez nałożenie wysokich ceł dowóz towarów zamorskich do Stanów, został uchwalony przez parlament i zatwierdzony przez prezydenta w roku 1890.

Odtąd Mac Kinley uchodzi za głowę stronnictwa, cieszy się ogromną popularnością w kołach republikańskich i do niedawna był najwięcej znienawidzonym człowiekiem w stronnictwie demokratycznem, przeciwnem wygórowanym cłom, trustom przemysłowym i zaprowadzonej przez niego walucie złota. W r. 1896 republikanie w wyborach prezydenta stawili i przeprowadzili jego kandydaturę



nieznaczną większością głosów. Skutkiem zwycięskiej wojny z Hiszpanią, zdobycia Kuby i wysp Filipińskich i olbrzymiego rozwoju przemysłu amerykańskiego pod jego rządami, popularność Mac-Kinley'a wzrosła podczas pierwszej prezydentury, i w roku przeszłym naród powołał go powtórnie na swego reprezentanta, mimo nieprzebierającej w środkach agitacyi jego przeciwnika Bryana.

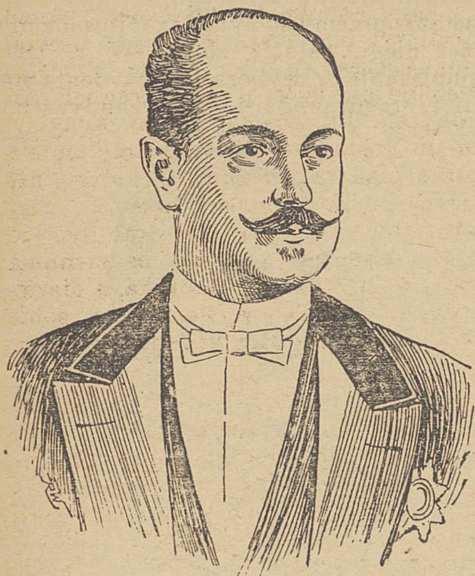
* * *



Admirał William T. Sampson.

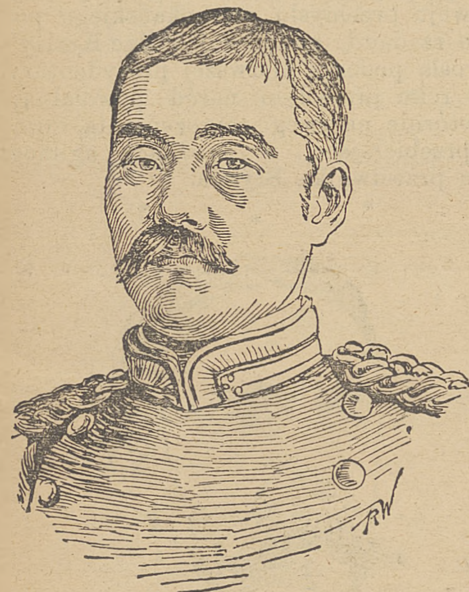
Spór między admirałem Sampsonem, a admirałem Schley'em ustawicznie porusza umysły polityków w Stanach Zjednoczonych. Spór trwa przeszło dwa lata, a dotyczy kwestyi, kto był właściwie zwycięzcą w bitwie morskiej pod Santiago, stoczonej w dniu 3-go lipca 1898 r. — czy admirał William T. Sampson, czy też admirał Winfield S. Schley. Protektorem Sampsona, chociaż młodszego w urzędzie, jest prezydent Stanów Zjednoczonych, Kinley. Świeżo wybrana komisya pod przewodnictwem admirała Dewey'a ma ostatecznie rozstrzygnąć spór ten długotrwały.

* * *



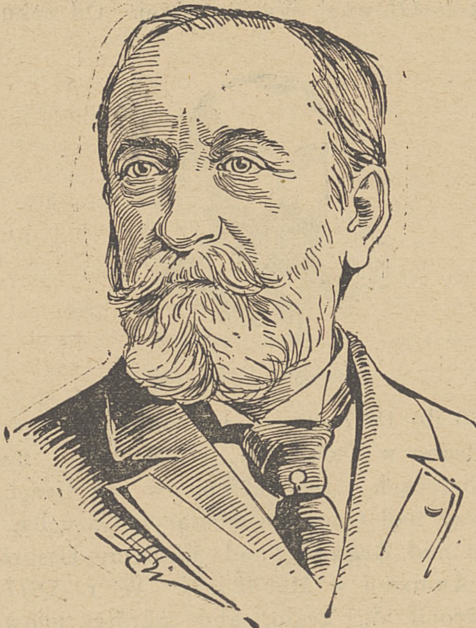
Hrabia Lambsdorff,
rosyjski minister spraw zagranicznych, wpływowa osobistość i wybitny dyplomata, towarzysz podróży cara rosyjskiego do Francyi.

* * *



S. Matsui,
dyrektor japońskiej straży pożarnej w Tokio, został wysłany przez rząd japoński na sześć tygodni do stolicy Niemiec, by się tamże wydoskonalił w swym fachu w berlińskiej straży pożarnej pod okiem dyrektora Giersberga. Matsui jest równocześnie dyrektorem w cesarsko-japońskiem prezydyum policyi i radzcą ministeryalnym w ministerstwie spraw wewnętrznych.

* * *

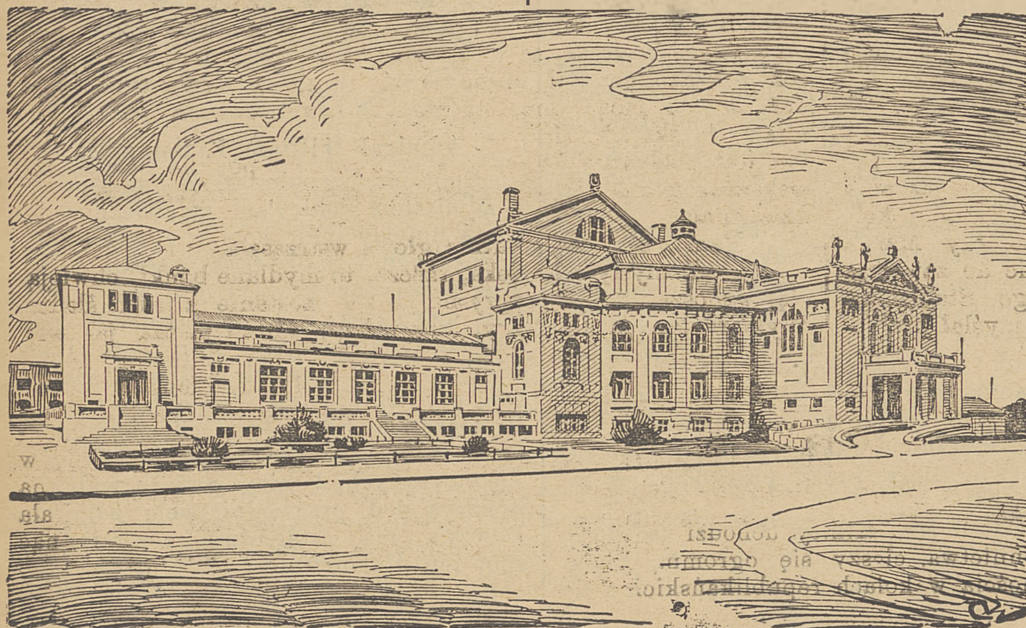


Ch. C. Saint-Saëns,
zalicza się do najznakomitszych współczesnych kompozytorów francuskich; między innemi jest on twórcą słynnej opery p. t. „Samson i Dalila“, która na wszystkich pierwszorzędnych scenach cieszy się niezwykłem powodzeniem.

* * *

Nowy teatr w Monachium,
t. zw. teatr księcia regenta (Prinz-Regenten-Theater) zbudowany jest na ustroniu zdala od gwaru miejskiego z wielkim przepychem i gustem artystycznym, mianowicie wewnątrz urządzenie sceniczne jest bardzo praktyczne i przewyższa pod względem tak techniki jak też mechaniki wszelkie maszynerye w pierwszorzędnych teatrach. Monachijczycy mogą być dumni z tego arcydzieła nowoczesnej architektoniki.

—ski.



Nowy teatr w Monachium.

Lichwiarz.

Całe życie rachował odsetki,
Ciułał grosze, jak poeta rymy,
Nie jadł, nie pił i małej izdebki
Nie opalał podczas mroźnej zimy.

Sam uprzątał proch i pył z alkierza,
Znosił na dół wymiecione śmiecie,
Nie znał krawca, szewca, ni balwierza.
Rzadki zakup czynił na tandecie.

Sługą swym i panem był zarazem,
Przyjaciela miał jednego — siebie;
Urągania ludzkie puszczał płazem,
By pewniejszy dostać kąt na niebie.

Wierzył w Boga, kościół i kapłana,
Choć wątpiły sąsiadki złośliwe;
Na prymaryi bywał codzień z rana,
A w niedzielę chadzał na wotywę.

Po kościele szedł do komornika,
Panem będąc różnych ruchomości;
Licytował biednego dłużnika,
Jako mawiał: „dla sprawiedliwości.“

A gdy sprawa pomyślnie się wiedzie,
Chwalił Boga zacierając ręce,
I na obiad szedł, a po obiedzie
W staromiejskiej siadał kawiarence.

Na ceratą okryty stoliczek
Kładł rewersy, weksle i notatki,
Sprawdzał sumę wydanych zaliczek,
Przy szklaneczce leciutkiej herbatki.

Różni wówczas ludzie się zjawiali,
Wyłuszczając mu przeróżne sprawy;
Jedni pewną porękę dawali,
Drudzy kładli na stole zastawy.

Do zegarków miał pasyę prawdziwą,
Więc wyłącznie przyjmował zegarki;
Na kolczyki, broszki patrzał krzywo,
Zasięgając porady kawiarki.

Kiedy zmroki dzielnicę zalały,
Światłem błysły uliczne latarnie,
Pustką w kącie świecił stolik mały,
Lichwiarz brudną opuszczał kawiarnię.

W domu zaraz drzwi pilnie zamykał
Na dwa klucze, zatrzaski i kłódki;
Gdy zasypiał — dokoła mu cykał
Stu zegarków „tyk-tyk-tak“ cichutki.

A zasnąwszy, śnił zawsze o jutrze:
Zażalenia przed sądem wylicza,
O terminy domaga się krótsze,
Licytuje, odbiera, pożycza...

Gdy nareszcie na rewersów kupie
Pewnej nocy dokonał żywota, —
Nikt wigilii nie odbył przy trupie,
Prócz łojówki kopcącego knota.

Stróż go tylko wspomniał i kucharki,
Przeklinając i skąpstwo i sknerę,
A nad trupem cykały zegarki
Miserere...

Wacław Lieder.



MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Panią majorowę zmieszało powiedzenie Maryi, ale nie dawała po sobie poznać pomieszania.

— Nie dobrześ robiła dziecię, żeś mi zaraz nie mówiła o tem, ale w tem nie ma tak dalece nic złego i nie można to uznać występkiem.

— O mamo, ja czuję, że ja źle zrobiłam, pierwszy to raz w mem życiu byłam skrytą przed tobą.

Pani majorowa pocieszała córkę, ale ani pocieszenia, ani macierzyńskie pieszczoty nie zdołały ją uspokoić, płakała poczuwając się do winy i nic ją utulić nie mogło.

Hrabia Artur powróciwszy z wizyty od pani majorowej do siebie, rozmyślał nad tem, co się wydarzyło. Ponieważ główną cechą jego wewnętrznego usposobienia był wielki egoizm, zatem zapytywał siebie najpierw, coby miało znaczyć nieprzyjęcie jego odwiedzin. Był gniewny i czuł się urażonym, przychodził mu na myśl tytuł własny i stanowisko, jakie w towarzystwie społeczeńskiem zajmuje; czuł się w głębi duszy człowiekiem wielkiego znaczenia: uchybiła mi majorowa — powtarzał po kilkakrotnie i potrząsł z oburzeniem głową.

Z kolei zwróciła się myśl jego do Maryi, dziwił się jej nagłej chorobie, zazdrościł poległemu Stanisławowi, że to jego śmierć stała się tej choroby przyczyną: ona go rzeczywiście kochała głęboko — mówił, zarazem mu żal było cierpiącej i szczerze ubolewał nad nią.

W końcu zastanawiał się nad swoim stosunkiem do Maryi, przychodził do tego przekonania, że ją kocha prawdziwie: tak, kocham ją — mówił — z nią mógłbym być szczęśliwym, taka piękna, tyle czucia w jej sercu! Jego oczy zabłysły radością, wspomnienie na śmierć Stanisława podnosiło mu piersi, chodził długo szerokiemi krokami, wreszcie po namyśle powziął postanowienie otwartego starania się o rękę Maryi.

Hrabia myślał i nad tem, co powie świat, gdyby jego staranie się o Maryę pomyślny uwieńczył skutek, czyby nie nazwał mezaliansem związek taki? Ku jego pochwale powiedzieć musimy, że myśli te nie nagabywały go długo; odgonił je od siebie rozumowaniem, że na względy świata wiele uważać nie trzeba, że ten świat jest często w swoich sądach przesądny, że dla bezsensowych przesądów nie warto własnego szczęścia poświęcać; a potem i cóż by to był za wielki mezalians, gdyby on, hrabia, ożenił się z dobrą szlachcianką, córką męża dobrze zasłużonego Ojczyźnie, co do przymiotów duszy nie ustępującą w niczem panienkom najwyżej zrodzonym, a może pod niejednym względem przechodzącą je o wiele.

Wynik tych rozumowań był taki, że hrabia Artur postanowił nie odstępować od raz powziętego zamiaru starania się o Maryę, chodziło jeszcze tylko o rzecz małej wagi, o której hrabia w pierwszej chwili przepomniał: oto czy Marya przyjmie jego wielką ofiarę i da się nakłonić do zawarcia z nim dożgonnego związku. Śmierć ukochanego Stanisława musiała w jej duszy wielkie zrobić zmiany — myślał hrabia, pod wpływem tej smutnej katastrofy nie da się ona tak łatwo zaprowadzić przed ołtarz; może właśnie sama śmierć Stanisława stanie między nią a nim nieprzełamaną zaporą, może zechce wiedziona egzaltacyą smutku dochować mu wiary i zakonne opadną ją myśli.

I na ten wypadek znalazł się zaradczy środek w głowie hrabiego Artura. Trudnoż mu było pukać do serca Maryi kiedy, jak wiedział, to serce było dla niego zamknięte. Sam swoją osobą niby u niej nie zyskał, postanowił zatem wpływać na nią przez matkę, gdyż wiedział, że jako dobra córka naleganiom jej się nie oprze.

Miłość jego była tak egoistyczną, iż nie czynił sobie wcale uwag nad tem, co z tego wyniknie jeżliby rzeczywiście zręcznemi zachodami rękę Maryi pozyskał. Nie pytał siebie: czy Marya będzie ze mną szczęśliwą? jemu nie chodziło o Maryę, jemu o samego siebie chodziło, a jeśli pragnął Maryę posiadać to nie dla niej, ale dla własnej swojej osoby.

Hrabia Artur należał do rzędu tych ludzi, którzy umieją przeprowadzić konsekwentnie plan raz ułożony, i którzy nie żałują zachodu i trudu, gdzie chodzi o własny interes. Umyśliwszy raz sobie co i jak robić potrzeba, zabierał się do dzieła z zimną krwią doświadczonego w życiu codziennem i w wojowaniu z ludźmi wszelkiego rodzaju strategika, a pierwszym jego krokiem uczynionym w celu wywojowania sobie Maryi, była pani majorowej zaraz nazajutrz oddana wizyta.

* * *

Panią majorową zastajemy znowu przy łóżku Maryi. Marya śpi, choroba wzięła dobry przebieg, zmniejszyła się gorączka, chora oddechała ciężko, ale pierś jej wznosiła się i opadała regularnie. Na bladej, niewyspanej twarzy matki maluje się promień zadowolenia i pociechy, pierwszy po długich dniach troski i obawy.

Weszła zakłopotana Basia i mówi, że pan hrabia jest i czeka w salonie; pani majorowa przyłożyła do ust palec i nakazała milczenie, aby mówienie głośniejsze nie obudziło chorej i sama podniosła się z siedzenia i wyszła ostrożnie na palcach nie robiąc najmniejszego szelestu.

— Dowiadywałem się u lekarza, powiedział, że panna Marya ma się lepiej — mówi pan hrabia Artur na wstępie.

— Dziękuję panu za przyjacielską troskliwość.

— Kto wie, czy moja troskliwość jest przyjacielska tylko.

— Pani majorowa rozumiała co chciał hrabia ostatniemi słowami powiedzieć, lecz nie dała odpowiedzi.

— Śmierć narzeczonego panny Maryi — wiedzie dalej hrabia — dotknęła mnie bardzo boleśnie. Panna Marya kochała go szczerze, musi cierpieć wiele — westchnął.

W oczach pani majorowej łzy błysnęły.

— Biedny, biedny Staś — mówi, umierać mu tak młodo! taki dobry, poczciwy chłopiec; sierota, nie ma matki coby zapłakała po nim! O, kochała go Marya, biedne dziewczę smuci się po nim.

Chwilę teraz trwało milczenie. Pani majorowa myślała o poległym Stasiu i o cierpieniach Maryi, hrabia myślał o tem: co i jak teraz mówić potrzeba.

— Jak pani majorowa myśli, co teraz się stanie? — zapytał.

— Nie rozumiem pańskiego pytania: jak to, co teraz się stanie?

— Pytam, jakie zamiary ma pani z panną Maryą na przyszłość?

— Z Maryą! przyszłość ludzka w boskich rękach spoczywa; jeszczem siebie nie zapytywała o to; zostawię wszystko czasowi i boskiemu zrządzeniu.

— Wszystko to dobrze, ale są rzeczy, które na samą boską opatrzność zdawać nie można; los człowieka głównie w własnych jego rękach spoczywa, w życiu prawie wszystko od niego samego zależy, różne nieprzewidziane niefortunne wypadki, wstrzymujące go w drodze i odwodzące od celu, do którego zmierza, są li przypadkowe, wywołuje je zbieg różnych okoliczności, mimo to nie ustajemy nigdy w naszych dążeniach i chcąc doprowadzamy prawie zawsze nasze zamiary do skutku. Los córki leży w pani rękach; panna Marya jest posłuszne dziecko, w wszystkiem pójdzie pewnie za wskazaniem matki; jaką pani jej przyszłość umyśli, taką będzie miała.

Pani majorowa smutnie głową wstrząsała.

— Zamysły człowieka, rzecze, to mydlane bańki, chwieją się, wznoszą, wnet rozprysną i nie zostanie z nich śladu. Wymarzyłam ja dla Maryi przyszłość, jużem ją tak jak widziała z Stanisławem złączoną, jużem w marach wnuki kołysała moje, jedna chwila i cóż się z moich mar zostało? ten smutek jeno co we mnie mieszka i nic nadto więcej.

— Co do tego wypadku, jest on wyjątkowy zupełnie i takie wypadki zdarzają się rzadko. Przyszły takie czasy, że ludzie cieplejsi, gorętsi, nie wiem jak ich nazwać, może i lepsi niż inni, wiedzeni szlachetnym popędem robią z siebie ofiarę, i dobrowolnie nadstawiają piersi pod ostrza bagne-

tów; Stanisław należał do najcieplejszych z tych ludzi, chciał, postanowił, poszedł na rzeź dobrowolnie, naturalnie zginąć musiał; zkąd supozycya, aby nie miał zginąć? właśnie gdyby nie zginął byłoby to rzeczą podziwienia godną. Rzeczywiście szkoda wielka Stanisława, mógłby być teraz krajowi bardzo przydatnym. Któż mu kazał robić ze siebie ofiarę? uczynił ją dobrowolnie zupełnie, gdyby był ją dobrowolnie nie uczynił, poszłoby wszystko było podług zamysłu pani, Marya by z nim była złączona i pani by mogła mieć nadzieję kołysania swoich wnuków.

— Mogłabym mieć, to prawda, wszystkoby mogło się stać było jak umyśliłam, to słusznie, a przecie się stało inaczej. Któż mi za to zaręczy, że i to, cobym teraz umyśliła dla Maryi, stanie się podług mojej myśli, i nie weźmie zupełnie przeciwnego obrotu?

— Jeśli tylko zamysł do wykonania będzie podobny i jeśli się wszystko pokieruje konsekwentnie, ja pani za to ręczę, że się dojdzie do celu, tak jak się umyśliło.

— Panie, panie! nigdy w własne siły i własną wolę wiele ufać nie trzeba; przeciwko wodzie nie można płynąć, przeciw zrządzeniom Opatrzności nic człowiek nie wskóra.

— Nie upieram się więcej, niech będzie tak jak pani powiada. Teraz jeszcze raz proszę o odpowiedź na moje pierwotne pytanie; jakie pani ma z Maryą zamiary na przyszłość? trudnoż tak rzeczy zostawić jak stoją, pani już coś w tym względzie zapewne postanowić musiała?

Odpowiadam raz jeszcze: nic nie postanowiłam, bo postanowić nie mogłam; zostawiam wszystko czasowi i okolicznościom.

Rozmowa dotąd hrabiego i zadane pani majorowej pytanie miało ją przygotować do tego co dalej mówić zamyślał; pani majorowa przeczuwała dobrze i zrozumiała już teraz zupełnie do czego zmierza hrabia, nie wiedziała co wypadnie odpowiedzieć, skoroby się począł jaśniej tłumaczyć, lub gdyby zechciał robić ze swojej strony propozycyę, przygotowywała się więc myślą, aby być gotową na wszelki wypadek.

— Czuję potrzebę jaśniejszego tłumaczenia — mówi hrabia po chwili — prosta droga prowadzi najlepiej do celu, po co mam w określeniach mówić to, co mogę powiedzieć otwarcie. Czy wie pani dlaczego pytałem o zamysły co do przyszłości Maryi?

— Nie wiem.

— Przyszłość Maryi obchodzi mnie bliżej, niżby można wnosić z mego dotąd postępowania. Nie występowałem w niczem otwarcie, gdyżby się wszystko na nic było nie przydało, istniała przeszkoda, która mnie zmuszała do milczenia i zaparcia siebie; z śmiercią Stanisława ta przeszkoda usuniętą została. Niech pani za złe mi nie bierze, że się dotąd z mojemi uczuciami kryłem, nie chciałem jej spokoju zakłócać, teraz już mogę mowić otwarcie: ja kocham Maryę, spodziewam się, że pani przeciwko mnie nic nie będzie miała do zarzucenia, stanowisko moje zabezpieczy piękną przyszłość Maryi, moja miłość będzie jej mogła ziemskie szczęście zapewnić, u matki proszę o córkę, pani zapewne przekonana, iż powodują mną najczystsze zamiary.

Pani majorowa była zmieszana.

— Nie wiem jak mam odpowiedzieć panu. Spodziewałam się podobnego oświadczenia, pan już Maryi o swojej miłości mówiłeś, wyspowiadała się już ze wszystkiego przedemną. Cóż ja odpowiedzieć mogę? matka nie może dawać żadnych za córkę przyrzeczeń, nie mówię ani tak, ani nie; pochlebia mi oświadczenie pana, rękojmią pańskich czystych zamiarów jest to, że się wręcz do mnie udajesz, ale sama nic panu powiedzieć nie mogę.

Ja nie żądam, aby pani ze swojej strony robiła mi jakie za siebie, lub za córkę przyrzeczenia. Moje oświadczenie uczyniłem w chęci przygotowania pani do moich zamiarów. Przekonany jestem, że skoro pani wszystko dobrze rozważy, przychyli się do nich i pomoże mi do urzeczywistnienia; na teraz o nic więcej nie proszę jak tylko o odpowiedź, czy pani moje oświadczenie przyjmuje i przychyla się na moją stronę? w ostatnim razie prosiłbym także o przyrzeczenie korzystnego dla mnie wpływania na córkę.

I w tym względzie nic panu stanowczego odpowiedzieć nie mogę i jeszcze raz powtarzam: pochlebia mi bardzo zaszczytne pańskie oświadczenie się o rękę Maryi, ale w tej chwili nie mogę się do niego ani przychylić, ani nie przychylić, gdyż nie wiem co Marya powie na wszystko, teraz zaś nie jest podobieństwem zadawać jej podobnego rodzaju pytań, gdyż zdrowie jej w takim się stanie znajduje, żeby mu zaszkodzić mogły; i boleść jej po śmierci Stanisława jest tak świeża jeszcze, że lada wspomnienie ją budzi. Skoro wyzdrowieje Marya, skoro czas zatrze dziś jeszcze tak świeży jej smutek, wtenczas będę jej o pańskiem oświadczeniu mówiła, dziś nie mogę tego uczynić, niechże więc pan będzie łaskaw odłożyć wszystko do późniejszego czasu, wtenczas i okoliczności będą inne i pójdzie wszystko w naturalniejszy sposób.

Hrabia poczerwieniał. Pani majorowa nie odrzuciła wprawdzie jego oświadczenia, ale zbyła go ogólnikami i odkładaniem wszystkiego do późniejszego czasu; czegoś podobnego nie spodziewał się wcale, sądził, że matka Maryi przyjmie go otwartemi rękami i będzie nim uszczęśliwiona za siebie i córkę, czuł się zawiedzionym w swych nadziejach i upokorzonym, jego duma była do żywego dotknięta.

— Nie pani, do późniejszego czasu niczego odkładać nie mogę! jak powiedziałem, kocham Maryę i miłość moja jest namiętnie gorąca, powiedziałem także, że prosząc o rękę Maryi uczyniłem to w nadziei, że mogłaby być ze mną szczęśliwą. Zapytuję pani teraz stanowczo: czy pani przyjmuje moje oświadczenie, czy nie?

— Jakżeż ja mogę dać na to odpowiedź, to rzecz zupełnie nie zależna odemnie, wszystko zależy od tego jak Marya się skłoni.

— Na teraz mi nie chodzi o to jak panna Marya się skłoni, w tym względzie przyszłość rozstrzygnie; pytam tylko, czy pani sama moje oświadczenie przyjmuje?

— Już powiedziałam, że mi bardzo nawet pochlebia.

— Więc pani je przyjmuje?

— Tak, to jest względnie, jeżli Marya zezwoli.

Hrabia wstał, wyprostował się, był pewny siebie i zadowolony. Matka Maryi powiedziała: tak, o to mu tylko na teraz chodziło. Wziął rękę jej w swoje ręce i do ust ją przycisnął.

— Uszczęśliwiony jestem przychyleniem się pani do moich zamiarów, mam nadzieję, że panna Marya da się nakłonić; jeźli pani przyzwala, trudnoż by nie przyzwoliła córka; proszę mnie odtąd uważać za syna, będę się starał udowodnić, że zasługuję na wszelkie położone we mnie zaufanie.

Pani majorowa była w wielkim kłopocie. Czuła w duszy, że hrabia nie byłby może złym mężem dla Maryi, miałaby przy nim los świetny, trudno odrzucić wręcz tak wysokiego konkurenta; pod naciskiem silnej woli powiedziała: tak, nie wiedziała co powie na to Marya; wszystko się stało niespodziewanie i nagle.

* * *

Marya przyszła do zdrowia. Kto ją znał dawniej dziwiłby się wielkiej zmianie, jaka z nią w tak krótkim czasie zaszła: spoważniała i posmutniała, uśmiech rzadko na jej ustach gościł i bywał taki bolesny, że od niego raczej się płakać niż śmiać chciało; nic ją nie bawiło, nic ją nie zajmowało, nie bawiły ją kwitnące róże ogródka, nie zajmowały ją w doniczkach w jej pokoiku rozwijające się kwiaty, stawała zamyślona nad niemi, a kiedy odchodziła, na listkach zielonych szkliły się łez perły. Częściej teraz niż pierwej chodziła do kościoła, w którym raz pierwszy Stanisława ujrzała, i modliła się długiemi godzinami, klęcząc, a jedna modlitwa zdawała jej się ulgę przynosić.

Pani majorowa zadawała sobie pracy, by rozerwać córkę i odwieść od smutnych myśli; było to lato, więc wyprowadzała ją do dalekich za miasto wycieczek, pokazywała jej piękny świat boży i pogodne niebo i kazała jej się uśmiechać, ona od matki odwracała głowę, by ukryć łzy, które błyszczały w jej oczach.

— Nie dobrze dziecię robisz — mówi matka — że się tak bez ustanku smucisz, cóż twój smutek pomoże? co się stało, to się nie odstanie, przyjm z pokorą wyrok opatrzności, każdy w życiu doznaje bolesnych zawodów, mimo to nie trzeba upadać na duchu, Bóg zasmuci, ale i znowu pocieszy, bądź dobrej myśli, dziecię, myśl zawsze, że to Bóg kieruje losami człowieka, a on wie, co czyni.

— O mamo, mnie Bóg zasmucił, ale mnie nie pocieszy więcej, ja się nie skarżę gdyż wiem, że nic nie pomoże skarga, smutna jestem, bo skądże mogę być wesołą? Biedny, biedny Staś, ginąć mu tak młodo! o, gdyby on żył jeszcze.

Matka nie mówiła więcej, gdyż przedstawienia jej nie pocieszały Maryę, owszem stawała się po nich smutniejsza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika.

Jeszcze sezon kąpielowy zupełnie się nie skończył, jeszcze wielu prezydentów, „Gerichtsratów“ i „Justizratów“ i wielu innych „ratów“ używa wywczasu gdzieś w górach, nad morzem lub u wód z większą lub mniejszą zawartością minaralnych soli, a już „Justitia“ poczęła żywo pracować nad zasądzeniem rozlicznych zbrodni stanu, popełnionych przez strasznie oporny, krnąbrny i na zgubę Europy wichrzący żywioł polski. Tam w starym zamku Leszczyńskich rozstrząsano wielki bunt na wiecu gostyńskim, na szczęście stłumiony przez komisarza Augustiniego; gdzieindziej znowu tj. w Toruniu rozpoczął się proces przeciwko 60 gimnazyastom,*) którzy ucząc się historyi polskiej, geografii i literatury ojczystej dążyli jak najdowodniej — podług zdania prokuratoryi — do przekształcenia politycznej karty europejskiej przez stworzenie potężnej Polski od morza do morza; w Poznaniu wreszcie niezadługo zadecyduje trybunał o arcydziełach arcybuntownika Artura Grottgera, który śmiał przed trzydziestu kilku laty mistrzowskiego ołówka swego użyć do upamiętnienia ofiar i poświęceń walczącego o prawa wolności polskiego narodu. Gdy się zważy, że tylko nadzwyczajnej przenikliwości policyi i energii sądownictwa zawdzięczać się będzie, że niemieckie nazwiska polskich obywateli jak Szulc, jak Sztark itp. odzyszczą piękną swą oryginalną pisownią niemiecką, lubo przekorne ich serca pozostaną „rebellisch-polnisch“, to doprawdy trzeba powiedzieć, że za wiele od razu nagromadziło się wybuchowego materyału wśród Polaków. Wszakże i o sprawie wrzesińskich matek, która niebawem zniewoli sędziów pruskich do natężenia swego zmysłu sprawiedliwości, zapomnieć nie należy, o sprawie, która dowodzićby mogła, że prawdopodobnie dzieci polskie już w stanie niemowlęctwa, ba, kto wie, czy jeszcze nie wcześniej przed przyjściem na świat mogą być zatruwane niebezpiecznymi pierwiastkami buntowniczopolskimi, tak iż się w końcu wzdragają do Pana Boga modlić się po niemiecku, jakkolwiek jedyną stósowną modlitwą do Pana Zastępów może być tylko niemiecko-pruska, jak twierdzą z całą pewnością hakatyści.

Wobec tylu od razu niebezpieczeństw trzeba naturalnie wznosić twierdze i gromadzić milionowe fundusze. Dlatego też sejm na najbliższej sesyi uchwalić ma niewątpliwie fundusz na wzniesienie niemieckiego „Vereinshausu“ w Poznaniu, gdzie się skupiać będzie ku chwale bożej element niemiecki, gdzie będzie pielęgnowana „deutche Treue“ i „deutsche Sitte“, „die einzig richtige und correkte!“ Zgodnie z zacnością i uczciwością niemiecką ma być podobno fundusz kolonizacyjny, powiększony od razu o 300 milionów marek, albowiem dotąd postępy antypolskiego osadnictwa są niedostateczne — Polacy za mało sprzedają, a Prusacy za mało kupują.

Do tej planowanej forsowniejszej kolonizacyjnej roboty już też naprzód kilku Polaków podało rękę, a tej to okoliczności zawdzięcza się, że Prochy już są w rejestrze kolonizacyjnych zdobyczy a wieś Wielkie pod Poznaniem już na pół jest w nim zapisaną. Aż trzech obywateli: Potworowski, Swinarski i Szczepkowski jednocześnie poświęcili swe nazwiska dla wspaniałego aktu polskiej ofiarności na cele pruskiej kolonizacyi — przy sprzedaży Proch. Jeden krył się za drugiego, drugi za trzeciego, aż wreszcie, gdy zabrakło parawanu, wszyscy wspólnie zawidnieli na targu, gdzie frymarka polska kwitnie. Tak to przy pięknej, pogodnej jesieni, gdy najpiękniejsze, najczystsze słońce poszarpanym polskim łanom przyświeca, pokazują się coraz nowe plamy na horyzoncie naszego bytu, a w organiźmie społecznym coraz więcej rysów, coraz więcej zmorszałości. Jedynym z bieżącej doby momentem dodatnim częściowego odrodzenia jest rozwój spółek i banków naszych ludowych, które w bieżącym miesiącu jeszcze odbędą w Lubawie sejmik, ażeby zliczyć zbiorowe rezultaty swej pracy i radzić nad dalszem udoskonaleniem tak dodatniej swej organizacyi.

Chochlik.

*) O procesie tym zamieścimy sprawozdanie w następnym numerze. — Przyp. Redakcyi.



Sejmik

Związku Spółek zarobkowych i gospodarczych

na Poznańskie i Prusy Zachodnie odbędzie się dnia 25 i 26 września 1901 *w Lubawie* w domu Spółki lubawskiej.

Szanownych Delegatów, Członków i Przyjaciół Spółek uprzejmie zaprasza *Ks. Wawrzyniak*, Patron Spółek.

Poznań, dnia 1 sierpnia 1901.



Nasze illustracye.

Kolej syberyjska.

(Do illustracyi albumowej.)

Przed czterdziestu już laty pojawił się w Rosyi projekt połączenia ogromnych przestrzeni Sybiru z Rosyą europejską zapomocą kolei żelaznej, którąby cały ten kraj aż do Oceanu spokojnego przerzynała. Wielkie trudności, jakie ta budowa przedstawiała, usunął ukaz cara Aleksandra III z marca 1891 r., który zarządził rozpoczęcie tego dzieła olbrzymiego. Już w maju tego samego roku odbyła się w Władywostoku nad Oceanem spokojnym uroczystość otwarcia budowy kolei pod przewodnictwem ówczesnego następcy tronu a teraźniejszego cara Mikołaja. Z początku przypuszczano, iż czas budowy kolei trwać będzie lat 30, lecz już po 10 latach roboty są prawie na ukończeniu, a to wskutek tego, iż rozpoczęto je jednocześnie w wielu punktach.

Długość kolei syberyjskiej wynosić będzie 6500 kilometrów, a koszta budowy obliczono na 350 milionów rubli.

Kolej ta ułatwiła znakomicie wychodźtwo na Sybir, a więc i kolonizacyę tej prowincyi: rocznie przesiedla się tam z Rosyi okrągło 1,200,000 osób. W czasie ostatniej mobilizacyi Rosyi przeciw Chinom okazała się ta kolej także pod względem strategicznym doskonałą. Znaczenie jej uwidocznia najlepiej fakt, że dzięki jej, przestrzeń z Londynu lub Paryża do Władywostoku, na której przebycie potrzeba było dawniej sześć tygodni parowcem via Suez, dziś może być przebyta lądem przez 3 i pół tygodnia.

S. Wcz.

Wiadomości.

— ***Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.***

— **Drobne** inseraty czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Administracya „Pracy.“

— **Poświęcenia dzwonów kościoła na Sw. Łazarzu** dokonał dnia 5 b. m. po południu ks. biskup dr. Likowski w obecności licznych duchownych — że wymienimy tylko ks. prałata Lewickiego i ks. dziekana Koteckiego — i przy udziale w tym uroczystym akcie licznie zgromadzonych wiernych. Dzwony są piękne i mają dźwięk harmonijny. Najcięższy z nich waży 43 centnary. Poświęcone są pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej, św. Łazarza, św. Jana i św. Agnieszki.

— **Kupno.** Wieś rycerską Słabomierz w powiecie żnińskim nabył p. Palacz z Poznania. Cześć mu za to! Niech pójdą za jego przykładem wszyscy ci, którzy na przedmieściach Poznania „na pieniędzach leżą.“ Rodzina Palaczów od dawna owiana jest i przejęta do gruntu obywatelskiem poczuciem polskiem.

— **Na chleb św. Antoniego** złożył p. B. M. z Nakła 3 mrk.

Razem zebraliśmy na ten cel 25 mrk.; dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Slub.** W dniu 3 września w kościele parafialnym w Żninie pobłogosławionym został związek małżeński pomiędzy p. Józefem Broniszem, synem Tadeusza i Józefy z Lerchenfeldów, właścicielem Koninka w powiecie wągrowieckim, a panną Zofią Zalewską, córką ś. p. Romualda i Rozalii z Sulerzyskich z Bożejewiczek. Aktu ślubnego dopełnił, przemówiwszy w serdecznych słowach do młodej pary, brat pana młodego, ks. proboszcz Bronisz z Rozdrażewa w asystencyi miejscowych księży ks. administratora Jasińskiego i ks. wikaryusza Wierzbickiego. — Szczęść Boże, młodej parze!

— **W Toruniu** w procesie przeciw panu Brejskiemu z powodu wiecu w Chełmży, wydała Izba karna pod przewodnictwem dyrektora sądu Grassmana, po wybornej obronie p. adwokata Szumana, wyrok uwalniający i nałożyła koszta kasie państwowej.

— **W mieście** naszem osiedlił się p. dr. Gantkowski, lekarz praktyczny, i przyjmuje w mieszkaniu po dr. Ziółkowskim, przy rogu ul. Jezuickiej i Wodnej. Pan dr. Gantkowski praktykował dotąd w Witkowie, gdzie wskutek swych lekarskich zdolności, oraz uprzejmością i zacnością charakteru pozyskał szacunek współobywateli, którzy go też z żalem żegnali. Polecamy go względom Szanow. Publiczności.

— **Pierwszorzędny zakład** fotograficzny pod firmą „Atelier Rubens“ (dawniej E. Mirska) w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim nr. 3, wykonuje fotografie wszelkiego rodzaju, oraz portrety aż do naturalnej wielkości. Zakład ten, którego właścicielami są pp. Andrzejewski i Samoliński, polecamy względom Szanownych Czytelników.

— **Kto chce** się ubierać gustownie i tanio, niech się uda do renomowanego magazynu garderoby męzkiej i dla chłopców pod firmą „*S. Brzeski*“, przy starym rynku 52. Zamówienia wykonują się w 24 godzinach podług najnowszych żurnali.

— **Na sprzedaż** jest na prowincyi dobrze prosperujący handel kolonialny, likierów, win, łakoci itd. w rynku położony. Kupno bardzo korzystne dla rodaka (patrz odnośny anons pod literą B. D. 632.)

— **Związek Spółek Zarobkowych** na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie wydał 29 sprawozdanie za rok 1900, wedle którego do Związku należy wogóle 126 Spółek (w roku poprzednim było 119). Bilanse wszystkich Spółek w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich wykazują 53 miliony 559 tysięcy 698 marek 15 fen.; a więc mniej więcej 7 milionów więcej aniżeli w roku poprzednim. W sprawozdaniu zaznaczono, że rozwój Spółek w roku ubiegłym był zupełnie prawidłowy. Zarządzone przez władze dochodzenia przekonały zapewne rząd, iż Spółki nasze na krok nie schodzą z podstawy prawnej — a i społeczeństwo nasze zaufaniem do Spółek dopomaga szczerze w spełnianiu zadania, t. j. podnoszenia dobrobytu przez oszczędność i zdrowy kredyt.

— **Gdańsk.** Księdza proboszcza Tyczyńskiego ze Starzyna skazała tutejsza Izba karna za rzekome omawianie z ambony spraw państwowych w sposób zakłócający spokój publiczny

na jeden miesiąc więzienia fortecznego

i zapłacenie wszystkich kosztów.

A więc „kulturkampf“ wre na dobre, ale daleko srożej niż kiedyś, bo obecnie motywowany zwalczaniem wielkopolskiej agitacyi; tą drogą idąc, ma protestantyzm wolne ręce do przeprowadzania swych celów.

— **Z prowincyi.** W niedzielę dnia 1-go b. m. powiada jedno dziecko szkólne do drugiego:

— Jutro jest Sedana.

Na to zapytuję się — co to jest za nazwisko?

Odpowiedź — nie wiemy.

— Czy pan nauczyciel wam nie objaśnia?

— Tak, pan nanczyciel coś ustami rusza, lecz co on mówi, tego my nie rozumiemy. K.

Zmarli.

† **S. p. Kaźmierz Pluciński,** właściciel Lusówka i Rusiborza dnia 10-go b. m. w Lusówku. R. i. p.

† **S. p. Edmund Kutzner** w Gnieźnie, dnia 10-go b. m. w 81-szym roku życia. R. i. p.

Od Redakcyi.

Szanownych Górnoślązaków, którzy z okazyi zjazdu w Krakowie i Zakopanem byli łaskawi dać nam dowód swej pamięci i życzliwości przez karty z widokami, redakcya uprzejmie prosi o podanie adresów (Pp. Broda, J. Jochemczyk, S. Wojtoń i wielu innych). Przy tej sposobności redakcya serdecznie im dziękuje za dowód życzliwości.

P. A. Gryca, Herne. — Nr. 18 i 25 zupełnie wyczerpane. — Prosimy na poczcie reklamować.

Nadesłane.

Zwracamy uwagę Szanownej Publiczności na inserat, dotyczący wielkiej aukcyi obrazów artystycznych w Poznaniu przy ulicy Berlińskiej nr. 20. Aukcya odbędzie się w drodze publicznej licytacyi we wtorek, dnia 17 b. m.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.



Żniwo róż w Bułgaryi.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“